WTOREK Nr 7 18 I 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

MŁODZIEŻOWY Teatr Aktualności

ZAMOŚĆ (PAP). Od 20 już lat działa Młodzieżowy Teatr Aktualności ZHP w Zamościu. Powstał z inicjatywy absolwenta łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, Telewizyjnej i Filmowej – Waldemara Zakrzewskiego, który do dziś jest opiekunem placówki, a zarazem reżyserem spektakli. Przedstawień było dotychczas ponad 450, a obejrzało je około 180 tys. widzów. Teatr wystawił 70 premier, od klasyki po dramaturgię współczesną: „Nosorożca" Ionesco, „Iwonę, Księżniczkę Burgunda" Gombrowicza, „Krawca" Mrożka, „Czarownice z Salem" Millera. W obecnym repertuarze teatru znajdują się „Krzysztof Kolumb" Michela de Ghelderode oraz „Poemat pedagogiczny" wg Antoniego Makarenki. Zasłużona w krzewieniu kultury wśród młodzieży placówka znana jest nie tylko na Zamojszczyźnie. Zespół brał udział w wielu przeglądach i festiwalach, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Wielu spośród blisko pięciuset młodych miłośników teatru biorących udział w pracy zespołu, to dziś artyści zawodowi.

Obecnie zespół, liczący 30 osób w wieku od 15 do 22 lat, został odznaczony Krzyżem za Zasługi dla ZHP oraz tytułem „Zasłużony dla miasta Zamościa". **(kl)**

40 FILMÓW Z PSEM REKSIEM

BIELSKO-BIAŁA (PAP). W bielskim studio filmów rysunkowych powstają cieszące się dużym powodzeniem wśród dzieci filmy o przygodach psa Reksia. Są to filmy autorskie Lechosława Marszałka, który jest równocześnie autorem scenariusza, oprawy plastycznej i reżyserem.

Do tej pory w ciągu ponad 10 lat zrealizowano 40 filmów z Reksiem. Występował on już w roli sportowca, sanitariusza, poligloty, automobilisty, opiekuna i wychowawcy dzieci.

Filmy z psem Reksiem cieszą się dużą popularnością wśród dzieci, i to nie tylko w naszym kraju, ale także we Francji, ZSRR, CSRS, RFN, Szwecji i Wielkiej Brytanii. **(kl)**

Wytnij, zachowaj, przekaż innym

HARCERSKIE NAUKOWE LATO–1983

Podczas trwania lata–1983 zostanie zorganizowanych kilkanaście obozów poświęconych sprawom nauki i kultury, dla uczniów interesujących się szczególnie jakąś określoną dziedziną wiedzy. Każdy, kto chce w nich wziąć udział powinien do dnia **31 stycznia 1983** nadesłać zgłoszenie zawierające dane osobowe, adres, szkołę, opinię nauczyciela (opiekuna naukowego) oraz krótki opis własnych osiągnięć. Pierwszeństwo w przyjęciu na obozy mają członkowie ZHP.

DZIŚ PROPOZYCJA 12:

Harcerski Obóz Pedagogiczny, organizowany w Lubiatowie koło Łeby przez **Komendę Hufca ZHP Łódź-Śródmieście we współpracy z Uniwersytetem Łódzkim.** Przeprowadzone będą na nim badania z zakresu pedagogiki. Zachęcamy do udziału w tym obozie wszystkich, którzy pasjonują się naukami społecznymi: pedagogiką, socjologią, politologią, psychologią itp. – będą bowiem mogli zapoznać się z warsztatem badawczym, stosowanym m. in. w tych naukach. Zgłoszenia należy nadsyłać na adres: **dr Marek Wiktorowski, Komenda Hufca ZHP Łódź-Śródmieście, ul. Sienkiewicza 100. (jt)**

SZOPKA JEST, BO BYŁA!

Fot. Z. Bisanz

Kto pierwszy zaczął pod Wawelem „chodzić z szopką?"

Dyrektor Muzeum Historycznego miasta Krakowa, **dr Sławomir Wojak,** któremu zadaję to pytanie, uśmiecha się melancholijnie: tego chyba nigdy się już nie dowiemy... liczę również, że nie doczekam czasów, gdy pojawi się określenie: ostatni szopkarz Krakowa. Sam jestem zdziwiony siłą tej szopkowej tradycji, rosnącą z roku na rok liczbą uczestników naszego konkursu na najpiękniejszą kolorową budowlę.

CIĄG DALSZY NA STR. 4–5

Skarbiec... pod kamieniem

ZSRR (PAP). Mieszkańcy jednego z osiedli w Kazachstanie zaczęli budować garaż. Karczowali pnie, równali teren, wreszcie zabrali się do usuwania wielkiego głazu leżącego na placu. Gdy głaz odsunięto, okazało się, że stanowił on... przykrycie skrytki zawierającej prawdziwy skarb kolekcji starych monet i banknotów z okresu od XIII do początku XX wieku! Należały one kiedyś do bogatego kupca-numizmatyka.

Teraz dawne środki płatnicze można oglądać w miejscowym muzeum. **(kl)**

Pokochały beton!

(PAP). Liczące ponad 50 zwierząt stado borsuków żyjące na Litwie obrało sobie za siedlisko... schron podziemny z okresu pierwszej wojny światowej. Pod betonową podłogą zwierzęta wykopały labirynty korytarzy, w których gromadzą zapasy i chronią się przed drapieżnikami. Z życia w żelazobetonowym pałacu borsuki są tak zadowolone, że rezygnują nawet... z zimowego snu. **(kl)**

Gwiazda baletu liczy sobie... 8 lat

JAPONIA (PAP). W jednym z teatrów tokijskich wystawiono balet Piotra Czajkowskiego „Dziadek do orzechów". Samo wystawienie tego baletu nie stanowi żadnej sensacji. Natomiast olbrzymie zainteresowanie budzi fakt, że primabaleriną dorosłego zespołu tanecznego jest... 8-letnia Naoko Hasimi, która z powodzeniem radzi sobie z tą niełatwą rolą.

Ta najmłodsza z historii baletu japońskiego solistka uczy się od 4 lat sztuki baletowej. Uchodzi za tzw. cudowne dziecko i po obecnym debiucie krytycy wyrażają przekonanie, że za parę lat należeć będzie do czołówki światowej. **(kl)**

RYBA - WOREK CZYLI RANZANIA TUŁOGŁÓW

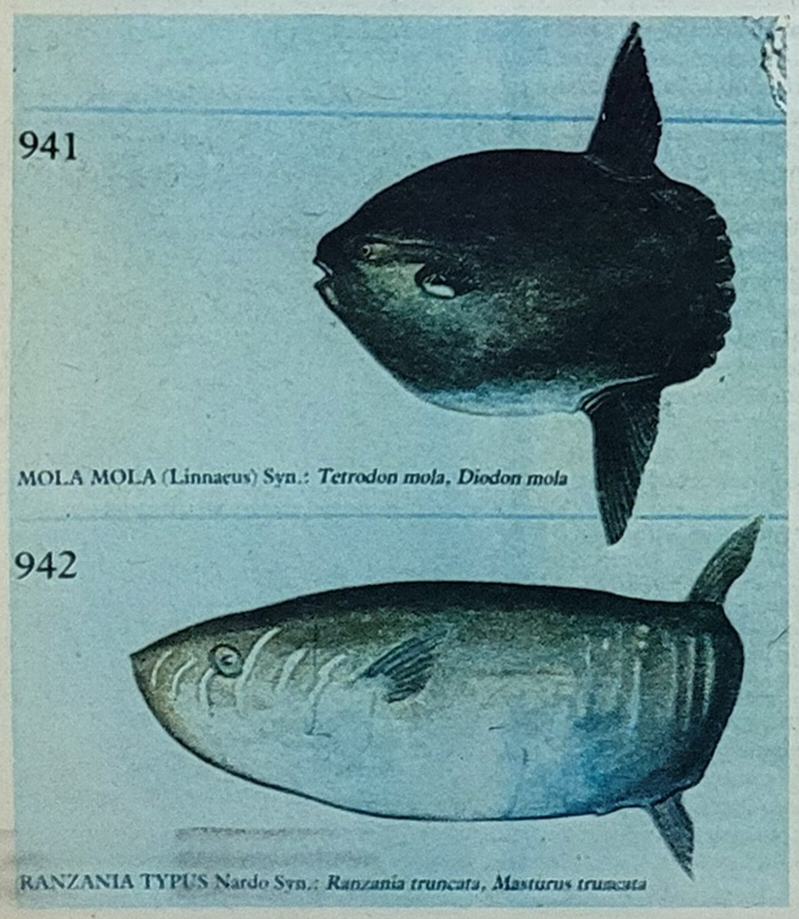

W jednym z grudniowych numerów pisaliśmy o wydanej niedawno przez Wydawnictwo Morskie Encyklopedii Ryb Morskich. Dziś przedstawiamy jedną z ryb, scharakteryzowaną w tejże encyklopedii pod numerem 942. Jest nią ranzania-tułogłów, z wyglądu przypominająca... worek. Ranzanie-tułogłowy występują na szelfach i w otwartych wodach ciepłych stref Atlantyku, Oceanu Indyjskiego i Środkowo-Zachodniego Pacyfiku. Trzymają się blisko powierzchni wody, żywiąc się zooplanktonem i larwami ryb. Długość ich ciała dochodzi do 80 centymetrów, rzadziej do stu. Jest ono bocznie spłaszczone, a w wyniku braku ostatnich kręgów i trzona ogonowego – tułów jest tępo ścięty. Ryby te czasem trafiają do sieci, ale nie są użytkowane.

Repr. **W. Mroczek**

Polscy laureaci nagrody Nobla

ZBĘDNA ZNAJOMOŚĆ

Jedna z najsławniejszych kobiet świata, współodkrywczyni polonu i radu – Maria Skłodowska-Curie – odznaczała się nadzwyczajną skromnością. Pewnego razu, podczas przyjęcia w Pałacu Elizejskim u prezydenta Loubeta, jakaś pani podeszła do niej z pytaniem:

– Czy pani życzy sobie, abym ją przedstawiła królowi greckiemu?

– Nie widzę potrzeby – brzmiała łagodna odpowiedź, lecz w tej chwili uczona zorientowała się, że stoi przed nią żona prezydenta, więc dodała szybko – ale, naturalnie, to tylko od pani zależy...

A dziennikarzom, usiłującym przeprowadzać z nią wywiady na tematy osobiste, odpowiadała krótko:

– W nauce nie powinniśmy interesować się ludźmi, lecz faktami naukowymi.

Maria Skłodowska-Curie (7.11.1867–4.07.1934), współtwórczyni nauki o promieniotwórczości. Z mężem, Piotrem Curie, odkryła polon i rad, wprowadziła termin „promieniotwórczość". W 1903 r. (pierwsza kobieta!) wspólnie z mężem otrzymała nagrodę Nobla z fizyki za badania nad promieniotwórczością, w 1911 r. powtórnie nagrodę Nobla z chemii za prace nad radem. W czasie I wojny światowej zorganizowała służbę radiologiczną dla szpitali wojskowych. Z jej inicjatywy powstał w 1932 r. Instytut Radowy w Warszawie.

(KG)

WIKLINOWE „ŻNIWA" DAJĄ POLSCE SPORE ZYSKI

(PAP). Wiklina jest bardzo cennym surowcem dla wszystkich wyrobów plecionkarskich. W Polsce uprawia się jej łącznie ok. 4 tys. ha. Zima jest zaś okresem, kiedy to właśnie na plantacjach wikliny prowadzi się zbiór tego surowca. Polskie wyroby plecionkarskie od dawna mają ustaloną renomę na rynkach zagranicznych, co przynosi nam kilkanaście milionów dolarów rocznie. **(kl)**

Liga Reporterów

RODZINA I JA

BRAK MIŁOŚCI

Moja rodzinka składa się z pięciu osób. Ja, o pięć lat starsza siostra, mama, tata i babcia. Właściwie jest to normalna rodzina, jednego tylko w niej brak: nie ma między nami zaufania. Mamie chyba jeszcze nigdy nie zwierzałam się ze swoich kłopotów. Choć mam już swoje 13 lat, to mama uważa mnie za małe dziecko, które nic nie rozumie. A ja już dużo rozumiem i chciałabym w czymś pomóc. Gdybym musiała ze swoją rodziną siedzieć tak co dzień od świtu do nocy, to nie wiem, może trochę przesadzam, ale trzymałabym się od niej jak najdalej...

Często się kłócę z siostrą. Szczególnie chodzi tu o „ciuchy". Ojciec prawie się do naszych spraw nie wtrąca. Zajęty polityką, czytaniem gazet lub też pomaga mamie. Obserwuję oboje rodziców i stwierdzam, że w ogóle nie ma między nimi miłości. Podtrzymuje ich tylko obowiązek i dlatego są razem. Gdyby nas nie było, to znaczy mnie, bo Lidka ma już 18 lat, rozeszliby się, to wiem na pewno. Moje dni są monotonne. Do szkoły, ze szkoły, w domu jem obiad, potem odrabiam lekcje, czasem gdzieś się urwę czy na zbiórkę, czy do kina, następnie kolacja, oglądam film, czytam książkę i idę spać. Na drugi dzień jest to samo. W sobotę nieraz coś pomogę, resztę dnia spędzam nad książką. Oczywiście nie nad podręcznikiem.

Muszę się przyznać, że nie mam dużo koleżanek. Może dlatego, że jestem zbyt zamknięta w sobie? W każdym bądź razie coraz mniej się śmieję, wydaję się ponura, naburmuszona. Ale naprawdę taka nie jestem. Ja chcę tylko jednego: prawdziwej rodzinnej miłości. Moją przyszłą rodzinę widzę zupełnie inaczej. Wyjdę za takiego, którego naprawdę pokocham i będę go kochała przez całe życie.

„Mila"

SĄDZĘ, ŻE TAK POWINNA WYGLĄDAĆ IDEALNA RODZINA

Mój tato urodził się w 1939 roku, więc miał trudne dzieciństwo. Mama miała je nieco lżejsze, urodziła się w parę lat po wojnie. Rodzice są nauczycielami akademickimi. Po przyjściu z pracy muszą się przygotowywać do wykładów (robią też pracę doktorską) ale mimo wszystko znajdą te trzy godzinki dla mnie i dla siostry. Mama raczej więcej czasu poświęca siostrze, tato natomiast „interesuje" się mną. Rozmawiamy o geografii, o znaczkach herbowych, czyli o naszym wspólnym hobby. Te chwile rozmów i zabaw z tatą są dla mnie bardzo miłe. Jedynie nie znoszę, gdy mama sprawdza zeszyty szkolne. Czasami wyrywa kartki i każe przepisywać. A do moich szkolnych spraw ma zawsze a zawsze jakieś tam zastrzeżenia. Ale trudno – przecież moją pracę musi ktoś sprawdzić. Mama często krzyczy; trochę jest nerwowa, ale potem wszystko dochodzi do normy. Rodzice bardzo rzadko się kłócą, za to ja z siostrą kłócimy się dość często.

Nasza rodzina jest jak gdyby jedną całością. Dłuższych rozstań niż 2 tygodnie nie mieliśmy i sądzę, że mieć nie będziemy.

„Dżek (Jack)" (13 l)

ZGODA I ZROZUMIENIE

Mama jest inżynierem (niestety, pedagog), mój tatuś jest także inżynierem (całe szczęście, że nie jest pedagogiem). Mam także brata; jest studentem. Ja zaś mam 14 lat (i 3 miesiące) i jestem uczennicą VIII klasy szkoły podstawowej. Mamy także psa wilczura. Stwór ten wabi się Jordan.

Moja rodzina jest bardzo zgrana. Panuje u ns zgoda i zrozumienie. Czasem wybuchają sprzeczki między mną a bratem – jak to zwykle bywa między rodzeństwem. W takich chwilach odechciewa mi się żyć. Idę do swego pokoju i płaczę w bezsilnej złości, lecz zawsze któreś z naszej „diabelskiej dwójki" delikatnie załagodzi konflikt. Jednakże nieporozumienia te zdarzają się rzadko, ponieważ mimo wszystko kochamy się i to nawet bardzo. Natomiast nigdy nie słyszałam, aby kłócili się moi rodzice, między nimi panowała zawsze harmonia, mimo iż różnią się charakterami. Tatuś jest „wybuchowy", a mama jest spokojna i opanowana. Rodzice moi są bardzo dobrzy. Potrafią miłość, którą nas darzą, przelać w nasze serca, ale nie zawsze odpowiadamy tym samym...

Moją rodzinę cechuje duże poczucie humoru. Szczególnie tatko potrafi nas rozweselić. Jak daleko sięgnę pamięcią nigdy nie było mi źle.

Podziwiam moją mamę, która jest uosobieniem dobra. Wychowała nas na pawdziwych Polaków. Wzięła na siebie bardzo odpowiedzialne zadanie, a w każdym calu swego zachowania postępowała jak Matka Polka. Tato, który zapewne kocha nas tak jak i mama, włożył niemały trud, aby stworzyć szczęśliwy dom. Cenię i szanuję moich rodziców nie tylko za miłość, którą nas otaczają, ale także za to, że zawsze byli sprawiedliwi i lojalni wobec nas – dzieci. Obydwoje ich kochamy z całego serca. Naszą wspólną miłością jest pies Jordan. Traktowany jest jak stworzenie niezwykle kruche (50 kg żywej wagi, wzrost 70 cm!) i dla niego znajdzie się duży okruch miłości.

Chciałabym, aby rodzina, którą w przyszłości założę, była właśnie taka, jak ta w której się wychowałam. Moim ideałem jest moja mama. Chciałabym być taką matką, jaką ona jest. Chciałabym, aby mój mąż był taki, jakim jest tatuś. Wszystko co dobre otrzymałam od rodziny i polegać na niej będę zawsze.

Chciałabym, aby moje dzieci kochały swoich rodziców, jak ja kocham swoich, ale nie życzę sobie, ani nikomu takich leni.

Zofia

DOBRZE NIE JEST...

Nie jesteśmy zbyt bogaci, ale dzięki staraniom ojca mamy dość dobrze wyposażone mieszkanie. Mam 6-letnią siostrę z którą łączy mnie tylko to, że mamy wspólną matkę. W naszym domu nie gości miła i przyjazna atmosfera. Co jakiś czas zdarzają się awantury rozpoczęte najczęściej przez mamę. Moja siostra jest pupilkiem rodziców. Ja wychowana byłam (i jestem) w wielkim rygorze. Nawet teraz ojciec bije mnie po twarzy.

Uczę się dobrze, jestem jedną z najlepszych uczennic w klasie. Nieraz bardzo pragnęłam, żeby ojciec nie wrócił już nigdy np. z pracy. Bo go nie kochałam i nie kocham. W moim życiu nigdy nie było tak, żebym np. zawiesiła się ojcu na szyi, bo kupił mi coś fajnego. Ze swoich kłopotów zwierzam się tylko koleżance. Bo jeśli powiem coś mamie, ona zaraz wygada to ojcu. Dowiedziałam się nawet, że jestem przez niego kontrolowana. Czyta mój pamiętnik i grzebie w mojej szafce...

„Opty"

WSIĄŚĆ DO POCIĄGU BYLE JAKIEGO

Oboje rodzice ukończyli studia. Mój tato jest prawnikiem, a mama stomatologiem. Pomimo że mam bardzo dobre warunki do nauki, własny magnetofon, adapter, pomoce w postaci książek naukowych, to są dni, że chcę to zostawić i uciec gdzieś daleko. Tak jak mówią słowa poiosenki Maryli Rodowicz „Wsiąść do pociągu byle jakiego..."

Wszystkiemu winiem jest mój tato; on o wszystkim decyduje w domu. Jego zdanie było najważniejsze przy doborze tapet, mebli, dywanów. Najgorsze jest to, że ja nie mam zupełnie nic do powiedzenia przy dyskusjach rodzinnych. Słyszę zawsze jedno i to samo: „Lepiej byś się wzięła za naukę, bo później są trójki". To samo jest, gdy chcę oglądać filmy wieczorne w powszedni dzień, a mam już 17 lat. Prawdą jest, że nie uczę się dobrze, ale po prostu nie lubię się uczyć. Jestem szczęśliwa, gdy tato wyjeżdża na kilkudniową delegację, bo z mamą jest zupełnie inaczej. Mogę powiedzieć jej o każdej dwói, trochę pogada, ale na tym koniec. Tato wypomina mi je przy każdej sposobności. Dlatego nie mówię o wszystkich ocenach, bo się boję.

Kocham bardzo moich rodziców, doceniam to, co dla mnie robią, ale nie mogę ich zrozumieć.

Do mojej niedoli dochodzą jeszcze ciągłe ekscesy z moją młodszą o osiem lat siostrą. W dzieciństwie przeszła bardzo ciężką chorobę, którą cudem przeżyła. Z roku na rok była coraz gorzej „rozpuszczana". Teraz muszę pomagać jej sprzątać pokój, w którym zawsze ma bałagan. Protestuję, ale na nic. Są dni, że nie mogę wprost znieść jej obecności. Najgorsze jest to, że nie mam nic do powiedzenia, nie mam komu się wyżalić.

Kiedy założę własną rodzinę, nigdy nie dopuszczę do tego, by o wszystkim decydował ojciec. A młodszą córkę lub syna będę od najmłodszych lat uczyła poszanowania dla starszego rodzeństwa.

„Claudina"

Spotkania

Pomiędzy

To niby tak niedawno... Ale jednak daleko już za nami pozostał wigilijny wieczór i daleko wydaje się do minionej sylwestrowej nocy. A przede wszystkim daleko do zakończonych w pierwszą styczniową niedzielę ferii, od których upłynęło już kilkanaście długich szkolnych dni, pełnych klasówek, sprawdzianów i odpowiedzi. Ich liczba zapowiada wyraźnie wiszące nad głową zakończenie pierwszego tegorocznego semestru.

Właśnie. To niby jeszcze prawie dwa tygodnie, w czasie których wydarzyć się może niemal wszystko, ale jednak iuż blisko przed nami znowu ferie, do których rozpoczęcia liczymy dni i godziny. Dziś, pamiętając o tamtych i czekając na te, jesteśmy pomiędzy nimi. Wspominamy, planujemy, obróceni w przeszłość i przyszłość, odganiamy teraźniejszość jak natrętną muchę, obudzoną niespodziewanie w środku zimy. A przecież to stające się na naszych oczach „teraz" jest ważne, ważniejsze od przeszłości, której już nie przywołamy do siebie po raz drugi, a tym bardziej nie zmienimy jej zastygłego raz na zawsze kształtu, ważniejsze od przyszłości, której jeszcze nie ma, którą więc właśnie teraz można jeszcze kształtować. Bo jeśli to „pomiędzy" ktoś chciałby uznać za most łączący dwa przeciwległe brzegi, to musiałby się zgodzić jednocześnie z tym, że właśnie na owym moście upływa mu całe życie.

Pomiędzy dobrem a złem jest miejsce na nasze wzloty i upadki, na rozmowę z własnym sumieniem, na rozterki podejmowanych decyzji. Również tych Twoich, dotyczących ostatniego konfliktu z rodzicami.

Pomiędzy pięknem i brzydotą jest miejsce na własne odbicie w lustrze, na pogodzenie się z tym, co dała natura. Również Tobie i Twojej dziewczynie czy chłopakowi, których wartości ujawnia przecież nie tylko, a może raczej nie tyle, lustrzane odbicie.

Pomiędzy prawdą i kłamstwem jest miejsce na nasze dociekania, na stawianie pytań, na unikanie odpowiedzi, na budowanie wiedzy o człowieku i o świecie. Również o Twoim ojcu i o Twojej ojczyźnie.

Pomiędzy wolnością i niewolą jest miejsce na każdy nasz krok i czyn, na zgodę na kroki i czyny innych. Również Twojego przyjaciela.

Pomiędzy stanem wojennym a jego zniesieniem jest miejsce na czas zawieszenia... A w nim przypadające właśnie na ten okres jeszcze jedno „pomiędzy" – „chmurna i durna młodość", której dni liczymy jeden po drugim pomiędzy „sielskim i anielskim dzieciństwem" a „wiekiem męskim, wiekiem..." nie, tego Mickiewiczowskiego cytatu nie dokończę. Bo przecież jeszcze nie wiesz, jaki będzie Twój wiek męski, a wieszcz podsumowując w tym znanym liryku swoje życie, miał już na karku czterdziestkę.

Greta (imię rzadkie, choć piękne i być może kryje się za nim zupełnie ktoś inny) ma lat dopiero siedemanście, ale od dwóch zadaje już sobie pytanie: czy warto żyć? Nie może znaleźć dla siebie nigdzie miejsca, czuje się samotna i opuszczona. Choć zgadza się z opinią siostry, że to jej własna wina. Przyznaje natomiast, że jest stanowcza, zawzięta i czasami sama nie wie, czego chce. Z drugiej strony nie ma z kim się podzielić swoimi szkolnymi kłopotami, które jej rodzice zupełnie lekceważą Wie, że młodość powinna być wesoła, a robi się tylko coraz bardziej zamknieta w sobie, słysząc co najwyżej pocieszające uwagi: jakoś to będzie, jakoś się ułoży. Nie potrafi na ten temat z nikim poważnie porozmawiać, choć sama raczej uważa, że to nikt z nią poważnie porozmawiać nie potrafi, i tak trwa to jej oczekiwanie na jedną mądrą radę, która rozwiązałaby wszystkie trudności, jakie nagromadziły się w tym jej nastolatkowym „pomiędzy" – po dzieciństwie i przed zupełną dorosłością.

Niestety, to cała moja wiedza o Grecie, która nie chce czekać biernie na lepszą przyszłość, tylko już dziś chce żyć inaczej. Nie chce czekać... Ale czy nie czeka?

Greto! Co zrobiłaś poza napisaniem tego smutnego listu, któremu zresztą wróżyłaś, że trafi do jakiegoś pudła, bez przeczytania i tym bardziej bez odpowiedzi. Masz rodzeństwo, koleżanki i kolegów w klasie, rodziców, nauczycieli. Co takiego zrobiłaś im wszystkim lub co takiego zrobili Ci oni, że straciłaś wiarę w ludzi? Zresztą nie straciłaś jej przecież, skoro wciąż jeszcze szukasz kogoś, kto powiedziałby Ci, czy warto żyć.

Jeśli tak trudno Ci go znaleźć, spróbuj poszukać twierdzącej odpowiedzi na Twoje pytanie najpierw w czymś innym: w pięknie muzyki jaką lubisz, w prawdzie książki pisarza, któremu wierzysz, w wolności wyboru, który rzeczywiście zależy od Ciebie, w dobru, które możesz wyświadczyć komuś drugiemu. Może to ukaże Ci sens życia, a może i zaprowadzi do ludzi, którzy też lubią muzykę, czytają książki, podejmują podobne decyzje i nie zgadzają się na zło.

Włodku, Małgorzato, Piotrze, Agnieszko! Nie wiem, czy jesteście w pobliżu Grety, bo wybrałem Wasze imiona spośród solenizantów tego tygodnia, ale jednak pytam Was, co zrobiliście by Ona lub ktoś podobny do Niej nie musiał pisać takiego listu? Co jest pomiędzy Wami, co nie pozwala się Wam zbliżyć do siebie i pomóc? Przecież żyjecie obok siebie, w strefie tych samych „pomiędzy", które powinny zbliżać, a nie oddalać.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Niedyskretny przyjaciel

Chodzę do VI klasy, uczę się nie najgorzej. Dziewczyny szaleją za mną, ale ja się nimi nie interesuję. Poznałem niedawno dziewczynę z innej szkoły. Nie jest ona tak bardzo ładna, jak dziewczyny z mojej klasy, ale charakter ma dobry. Powiedziałem o niej swojemu najlepszemu przyjacielowi, który, nie wiem dlaczego, rozgadał to wszystkim. Dotarło to nawet do szkoły tej dziewczyny. Koleżanki zaczęły jej dokuczać.

Proszę was, doradźcie co mam zrobić w tej sytuacji, bo sam nie wiem, jak z tego wybrnąć. Chciałbym z nią porozmawiać i zaproponować jej przyjaźń, ale boję się, że po tym wszystkim odmówi mi.

Krzysiek

Nie mogę się skupić nad żadnym zadaniem

Od dłuższego czasu nie mogę sobie dać rady ze sobą. Nie umiem skupić się nad lekcjami. W efekcie nie byłam dwa dni w szkole, bo były klasówki, a ja kompletnie nic nie umiałam. Co najgorsze rozmyślałam zwykle o chłopakach. Do tego wszystkiego nie mam żadnej sympatii. Dziś podoba mi się ten, jutro drugi. Z jednym zrywam, zaczynam chodzić z innym, a po dwóch dniach stwierdzam, że ten pierwszy bardziej mi się podoba itd. itp.

Chodzę do VIII klasy i bardzo zależy mi na ocenach. Jak dotąd byłam dobrą uczennicą, ale teraz nie mogę się skupić nad żadnym zadaniem. Wydrukujcie mój list, bo sama nie dam sobie rady. Wprawdzie mam wielu przyjaciół, ale nie potrafię o tym z nimi rozmawiać.

M.

Nawet mój najlepszy kolega lubi mnie maltretować

W mojej klasie nie panuje dobra atmosfera. Nauczyciele na nas narzekają, bo rozmawiamy na lekcjach, a moi koledzy upodobali mnie sobie do bicia. Na przerwach wykręcają mi ręce, ciągną za włosy. Nawet mój najlepszy kolega lubi mnie maltretować. Wszyscy nazywają mnie maskotką, bo jestem słaby i nie daję rady się bronić. Chciałem to wszystko zgłosić wychowawczyni, ale postanowiłem poczekać, może się ustatkują.

Rozmowy z nimi nie przynoszą skutku. Może ten list w „RP" zmieni ich stosunek do mnie.

Jurek z Bolesławca

Pożyczone książki

W marcu tego roku pożyczyłem w bibliotece publicznej cztery książki. Do dziś nie zwróciłem tych książek. Przyszły dwa upomnienia, a ja albo zapominałem, albo po prostu nie miałem czasu. Teraz nie mam odwagi iść do biblioteki. Co robić?

„Zapominalski"

OD REDAKCJI: Nie będziemy Ci prawić morałów, bo niewiele teraz to pomoże, choć szczerze mówiąc należy Ci się parę ostrych słów. No cóż, zapewne i Ty, jak również my jesteśmy przekonani, że książki musisz oddać i to jak najszybciej. A jak to zrobić? Po prostu bierzesz książki, idziesz do biblioteki, oddajesz je pani bibliotekarce, serdecznie przepraszając za zwłokę. Jeśli jednak nie potrafisz pokonać lęku i wstydu, poproś któregoś z kolegów, żeby zwrócił za Ciebie te książki. (mi)

„Sokoliki" na lodzie

Jeszcze do niedawna Harcerski Klub Sportowy „Sokoliki" z Sokółki znany był w całym kraju jako potęga piłkarska. Dwukrotny lider turnieju o puchar „Świata Młodych" dawał się we znaki i w rozgrywkach Szkolnego Związku Sportowego, zwłaszcza podczas igrzysk młodzieży. Ponieważ rozgrywki poszły w zapomnienie (stało się to i z igrzyskami – a szkoda) HKS „Sokoliki" zmienił trochę profil swoich zainteresowań; zamiast piłkarskich butów w ruch poszły lekkoatletyczne kolce (latem) oraz łyżwy (zimą).

Już dwa lata temu uczniowie z Sokółki zajęli wysokie lokaty w złotym krążku i błękitnej sztafecie (w zawodach ogólnopolskich). Na czoło wybijały się zwłaszcza Joanna Małyszko i Wioletta Biziuk, które po ukończeniu sokólskiej „jedynki" trafiły do Zakopiańskiej Szkoły Mistrzostwa Sportowego. Tam czynią dalsze postępy (Biziuk osiągnęła na dystansie 500 m czas 50,9 sek., a Małyszko – 51,0 sek.) i wszystko wskazuje na to, że wkrótce obie zawodniczki zdobędą II klasę sportową.

Członkowie HKS „Sokoliki" w drodze na warszawski tor i w trakcie treningu. Podczas ubiegłorocznych sprawdzianów chłopcy z Sokółki osiągnęli w złotym krążku znakomity czas – 3.38,0 min. Jak będzie teraz?

Odejście Wioletty i Joanny wcale nie osłabiło HKS. Młodszy brat tej pierwszej, Wojtek, należy do łyżwiarskiej czołówki województwa białostockiego (jest także znakomitym lekkoatletą), a siostry Anna i Barbara Szamreto oraz Urszula Bućko i Bożena Mazurczyk mało ustępują „zakopiankom". Doskonale spisuje się również Adam Lemancewicz, Marek Olechno i najmłodszy z całej drużyny – 5-klasista Wojtek Sańko. Na jednym z ostatnich „łyżwiarskich czwartków" (popularne zawody „Expressu Wieczornego") wymienieni powyżej zdobyli... 17 dyplomów. Na warszawskim torze „Stegny" nie dali rywalom żadnych szans.

Skąd biorą się te sukcesy? Odpowiedź jest prosta: z systematycznej i całorocznej treningowej harówki. Ale to nie wszystko. HKS „Sokoliki" ma znakomitych patronów. Inspektor oświaty Józef Zalewski zawsze potrafi znaleźć tak potrzebne fundusze na sprzęt i na mecze wyjazdowe. Pomocą służy również komendant miescowego hufca ZHP, druh Jerzy Gimer. A ponieważ nauczyciele i dyrekcja sokólskiej „jedynki" potrafią wytworzyć w szkole odpowiedni klimat... bezbłędnie koło się zamyka. Są więc wyniki na skalę krajową. **(zp)**

Fot. **J. Łopuszyński**

Belmondo (junior) w Formule 1?

Jean Paul Belmondo, słynny aktor francuskiego filmu, nigdy nie pozwalał na dublowanie swoich występów przez kaskaderów. Jego odwaga i sprawność zasługują na szczególną uwagę. Belmondo, jak było potrzeba, znakomicie boksował, jeździł konno, z oszałamiającą prędkością prowadził sportowe samochody. Nie bał się żadnych arcytrudnych do wykonania ról i jak mówią wtajemniczeni – lubił ryzyko.

Ale nikt nie sądził, że na podobne „igraszki" pozwoli swojemu synowi, który niedawno wygrał finał konkursu na kierowców wyścigowych i w tegorocznym sezonie wystartuje w Formule Renault. A konkurencja była spora. Paul Belmondo (junior) jeździ podobno szybciej od ojca i jak twierdzą fachowcy ma spore szanse wziąć w przyszłości udział nawet w zawodach Formuły 1. 19-letni Belmondo już dziś mówi, że jest to jego główne marzenie. Jeżeli celu dopnie – dodaje – będzie reprezentował jedynie francuską firmę „Renault".

Medal im. J. Śniadeckiego dla Tadeusza Zawiszy

Zarząd Główny SZS oraz redakcja „Przeglądu Sportowego już od lat przyznają najlepszym pedagogom Medal Jędrzeja Śniadeckiego. Jest to wyróżnienie (tylko jedno w roku) za krzewienie kultury fizycznej wśród młodzieży. Tym razem otrzymał go pan **Tadeusz Zawisza** z Wrocławia, już od trzydziestu lat związany ze sportem szkolnym (był też sekretarzem słynnej w kraju „Juvenii"). Dzięki jego inicjatywom województwo wrocławskie, jako pierwsze w Polsce, wprowadziło ogromny system imprez, kopiowanych później na innych terenach. Obecnie pan Tadeusz Zawisza jest już na emeryturze, ale nadal pozostał wierny swojej pasji. A oto co powiedział przedstawicielowi „Przeglądu Sportowego": *„Marzę o tym, by SZS był znowu SZS. Dziś nasz związek jest organizacją dla młodzieży, kiedyś był po prostu organizacją młodzieży, która wszystko robiła sama. Administracyjnymi metodami kierowania, zalewem skomplikowanych przepisów – skrępowaliśmy, sformalizowaliśmy nasz SZS. Zadecydował czyjś brak wyobraźni, jakbyśmy nie wierzyli, że młodzież poradzi sobie sama. Niech gra kiedy chce, i w co chce. Dorośli powinni jedynie pomagać, służyć radą...*

Nic ująć, nic dodać. Laureatowi składamy serdeczne gratulacje. **(zp)**

Premie za Mundial

Wprawdzie ostatnie piłkarskie mistrzostwa świata odbyły się pół roku temu, ale dopiero teraz dokonano ich bilansu finansowego. Na ostatnim posiedzeniu FIFA podano, że całkowity zysk wynosił 63.938.898 franków szwajcarskich. 10 procent z tej sumy otrzyma FIFA, 25 procent główny organizator imprezy czyli Hiszpański Związek Piłkarski, a pozostała kwota podzielona zostanie między wszystkich uczestników mistrzostw. Nie podano jeszcze, jaka suma przypadnie poszczególnym drużynom, ale wiadomo, że uzależniona jest ona od liczby rozegranych meczy (przez dany zespół) i od frekwencji na stadionach. Nasze jedenastka, która zajęła trzecią lokatę, plasuje się w czołówce nagrodzonych (odbyślimy aż siedem spotkań). Polski Związek Piłki Nożnej otrzymał już pierwszą ratę nagrody (w wysokości 1,5 miliona franków), wkrótce do PZPN wpłyną pozostałe pieniądze. Dewizy będą przekazane na konto GKKFiS i zostaną przeznaczone na rozwój naszego sportu.

Na posiedzeniu poinformowano, że podczas następnych MŚ wezmą udział także 24 drużyny. Nie wiadomo tylko, kto będzie organizatorem imprezy. Mówi się wiele o kandydaturach Brazylii, USA, Kanady i Meksyku (w myśl ustaleń FIFA kolejne zawody mogą odbyć się tylko na półkuli zachodniej), ale jak dotąd jedynie Meksyk wystąpił z oficjalną prośbą o przyznanie mu funkcji gospodarza MŚ. Ostateczne decyzje, po rozpatrzeniu wszystkich wniosków, zapadną w br. **(zp)**

OKLASKI DLA NAJLEPSZEGO?...

O Marku wiedziałam wcześniej zaledwie tyle, że jest bardzo dobry z historii. „Często zaskakuje mnie na lekcjach znajomością dat i faktów, które wychodzą daleko poza program szkolny. W klasie jest bezkonkurencyjny" – mówiła o nim nauczycielka. Już w piątej klasie wziął udział w olimpiadzie historycznej dla uczniów szkół podstawowych i bez żadnych potknięć przebrnął wszystkie etapy zajmując w finale drugie miejsce.

Marek o sobie: – Kiedy byłem w IV klasie rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Grecji. Od tego wszystko się zaczęło. Grecja mnie oczarowała. Po powrocie do Warszawy rzuciłem się jak szalony na lekturę o starożytności, aby dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co zobaczyłem na własne oczy. Dzięki temu byłem w szkole najlepszy z historii. Pamiętam, że uwagę nauczycielki zwróciłem podczas lekcji o hieroglifach. Wiedziałem dokładnie kto i kiedy je odczytał. Potem zostałem wytypowany na olimpiadę historyczną. To było w V klasie. Poszło świetnie. Oprócz drugiej nagrody otrzymałem także wyróżnienie dla najmłodszego uczestnika. Ten sukces mnie zmobilizował i zacząłem się uczyć coraz więcej i więcej. Po starożytności zwróciłem uwagę na okres naszej niewoli narodowej, bo bardzo mało o nim wiadomo. Moi koledzy zaczytywali się w książkach o II wojnie światowej. To było mało oryginalne! Ja poszukiwałem nie rozstrzygniętych zagadek okresu zaborów. Moje drugie podejście do olimpiady historycznej było trochę mniej udane i nawet trochę mnie załamało. Odłożyłem historię do lamusa i już nawet chciałem zająć się czymś innym. Tylko rodzice podtrzymywali mnie na duchu. Dzięki nim zdecydowałem się brać udział w tegorocznej olimpiadzie, chociaż temat mnie właściwie mało interesuje: dzieje ruchu robotniczego w Polsce. A w przyszłym roku być może spróbuję swoich sił w olimpiadzie biologicznej i geograficznej. Po prostu, chcę się sprawdzić. Lubię być lepszy od innych, olimpiada daje mi możliwość wybicia się.

W klasie Markowi nie wiedzie się zbyt dobrze. Przez większość jest tolerowany, ma tylko dwóch bliskich kolegów, ale również kilku zaciętych wrogów.

Kolega o Marku: – Fajny kumpel, ale nie zawsze. Kiedy zrobimy mu jakiegoś psikusa, to się zaraz denerwuje i obraża. Sam woli robić psikusy niż być ich ofiarą. Na przykład, jak dostał ostatnio piątkę z historii, to zmoczyliśmy mu głowę. To taki szkolny obyczaj. Przez cały dzień Marek do nikogo z klasy się nie odzywał. Ale potem szybko mu przeszło. Kiedy prosimy go o wyjaśnienie czegoś z historii, to wyłuszcza wszystko jak nauczyciel.

Koleżanka o Marku: – Lubi się popisywać i zwracać na siebie uwagę. Drażnią mnie niektóre jego wygłupy, na przykład: podkładanie szpilek na krzesła. Jesteśmy już siódmą klasą, a to takie dziecinne! Tymczasem na ostatniej lekcji wychowawczej, kiedy mówiliśmy o swoim miejscu w rodzinie, Marek przechwalał się, że jest traktowany jak dorosły. Trudno mi w to uwierzyć! To prawda, że jest dobry z historii i w ogóle z przedmiotów humanistycznych. Ale na lekcjach zachowuje się, moim zdaniem, niepoprawnie. Gdy ktoś odpowiada, często się wtrąca. Przerywa nauczycielce nie podnosząc palca do góry. Chce nam pokazać, że umie więcej i lepiej niż my. A jeśli ktoś z nas nie wie czegoś, co on wyczytał w jakiejś książce dla studentów, to udaje zdziwienie: „jak to, ty tego nie wiesz?!"

Wśród nauczycieli za to Marek ma raczej dobrą opinię. Uchodzi za zdolnego i pracowitego ucznia, chociaż z niektórych przedmiotów jest przeciętny: z matematyki, fizyki.

Wychowawczyni o Marku: – To niezły uczeń, ale wcale nie taki znowu genialny. Zauważyłam u niego dążenie do osiągania sukcesów. Kiedy potknął się na olimpiadzie historycznej, to zaczął trenować lekkoatletykę. Miał nawet, zdaje się, zamiar wziąć udział w jakichś mistrzostwach sportowych, ale coś mu z tym nie wyszło. Klasa nie przepada za Markiem. Młodzież w jego wieku lubi czymś imponować swoim rówieśnikom. Uważam to za normalne. Wydaje mi się, że stąd właśnie bierze się u niego to dążenie do bycia najlepszym.

Marek ma młodszego brata. Mówi o nim „aktor". Podobno brat ma talent. Zaczął od statystowania w filmach i sztukach teatralnych, potem zaproponowano mu dubbing w serialu dla dzieci, potem jedną z ról w filmie fabularnym. Bratu wszystko się udaje. Marek patrzy na niego z podziwem i odrobiną zazdrości. Sam kiedyś próbował „aktorstwa", ale nie najlepiej mu to wyszło, za bardzo się peszy przed kamerą. Marzeniem Marka jest zostać dziennikarzem, jak tata.

Ojciec o Marku: – To, że Marek chce być najlepszy, wcale nie świadczy o nim negatywnie. Wydaje mi się, że w obecnym świecie tylko ludzie najlepsi mają jakąś szansę w życiu. Liczy się najlepszy dziennikarz, najlepszy reżyser, najlepszy aktor. Cała reszta słabych i średnich pozostaje w cieniu. Być może Marek przypłaca to teraz odosobnieniem w gronie swoich kolegów szkolnych. W klasie nie lubi się wszystkowiedzących, którzy stale trzymają palec w górze, gotowi na każde pytanie nauczycielki. Starałem się zainteresować Marka historią i wydaje mi się, że ją polubił. Chce być w niej najlepszy, to ludzkie. Że chce być najlepszy również w innych przedmiotach... Niech się sprawdza! A swoją drogą, dobra znajomość historii z pewnością pomoże mu dostać się do liceum ogólnokształcącego, a potem może na studia. On o tym wie.

O Marku rozmyślam z mieszanymi uczuciami. Ludzie wyróżniający się w jakiejś dziedzinie często nie są lubiani w swoim otoczeniu, które bywa zazdrosne, nierzadko dokuczliwe. Zdaje się, że Marek już tego doświadczył w swojej klasie. Ale czy tylko dlatego, że jest lepszy?

JOLANTA ZDANOWSKA

CIECHANOWSKIE SEJMIKOWANIE

Na Sejmik Delegatów Młodzieży Szkół Ponadpodstawowych jechałam z dużym zaciekawieniem. Nareszcie zaczyna się coś dziać w społeczności uczniowskiej. Młodzież ma problemy i chce o nich dyskutować na szerokim forum. Wśród delegatów byli przedstawiciele prawie wszystkich szkół ponadpodstawowych województwa ciechanowskiego. Zjechali także reprezentanci władz wojewódzkich, kuratorium Oświaty i Wychowania, a także Wojewódzkiej Społecznej Rady Wychowania Dzieci i Młodzieży. Trzeba przyznać, że raczej rzadko daje się środowisku uczniowskiemu okazję stanąć oko w oko z władzami kompetentnymi w sprawach jego problemów i bolączek. Oczekiwałam zatem burzliwej dyskusji, całej powodzi pytań i oczywiście rzeczowych odpowiedzi. Tymczasem z odczytanego porządku obrad zorientowałam się, że spotkanie będzie miało charakter nieco mniej atrakcyjny – będzie odczytywaniem referatów. Nie załamałam się jeszcze myśląc, że referaty – też dobra rzecz. Można dowiedzieć się z nich, co ciekawego dzieje się w szkołach. Samorządność – sprawa niesłychanie aktualna, zresztą nie tylko w szkołach, stanowiła temat wiodący. Była więc mowa o tym, że samorządy w szkołach istnieją, że wybierane są demokratycznie, że zapraszane są na rady pedagogiczne i decydują o przyznawaniu stypendiów itd., itd. Na dodatek wszystko w różowych kolorach. Zaczęłam się zastanawiać po co właściwie ten sejmik, jeśli w szkołach ciechanowskich wszystko w porządku. Wtedy rozległ się głos z sali:

– Koledzy. Zejdźmy na ziemię i przestańmy czytać listy pochwalne. Mówmy o tym, jak jest naprawdę.

Podniósł się lekki szmer na sali. Potem nieśmiało zaczęła rozwijać się dyskusja, a referenci porzucili kartki, z których na mównicy i przed mikrofonem odczytywali swoje sprawozdania. Dyskusja nakreśliła kilka problemów nurtujących szkolną młodzież.

Sprawa partnerstwa w stosunkach nauczyciel-uczeń wciąż jeszcze budzi wiele zastrzeżeń i wątpliwości. Czy nauczycielowi wolno postawić dwóję za brak zeszytu lub książki, albo za niestosowne ubranie? Czy nie powinien oceniać jedynie wiedzy?

Jak przy obecnych niedostatkach w zaopatrzeniu rozwiązać sprawę ujednoliconych ubrań w szkole?

Przedstawiciel Zespołu Szkół Mechanicznych z Płońska podniósł sprawę uczestniczenia samorządu w decydowaniu o wydatkach szkolnych. W jego szkole zakupiono bardzo drogie stoły, które uczniowie mogliby bez problemu wykonać w warsztatach. Delegatka Liceum Medycznego w Ciechanowie domagała się żarliwie od kuratora wybudowania nowego budynku dla szkoły, ponieważ stary jest podobno w stanie zgoła opłakanym. Natomiast druh z Zespołu Szkół Zawodowych w Ciechanowie domagał się harcówek, jakby harcerstwo bez harcówek obyć się nie mogło. A poszukać czegoś na własną rękę to nie łaska?! Były też prośby o dotacje na rozwój turystyki w szkołach, o dodatkowe autobusy dla dojeżdżających i pytania co z obuwiem dla uczniów. Słowem, problematyka bogata i różnorodna. Powiało nawet niezbyt chlubną tradycją szlachecką. Każdy po prostu załatwiał swoje sprawy.

Na koniec kompetentne władze udzielały odpowiedzi na postawione pytania. Ale młodzież nie lubi przydługich i kwiecistych przemówień, zwłaszcza gdy ograniczają się do zapewnień – „postaramy się, uwzględnimy". Toteż sala zaczęła się wyludniać, tym bardziej, że była to wolna sobota i pora grubo poobiednia.

Wyjeżdżałam z Ciechanowa z mieszanymi uczuciami. Nie wątpię, że zwoływanie tego rodzaju sejmików ma swoje uzasadnienie. Dla młodzieży są one próbą wymiany doświadczeń, a także okazją do dialogu z władzami oświatowymi i administracyjnymi. Dla władz z kolei są obrazem tego, co dzieje się w środowisku uczniowskim.

Sejmik w Ciechanowie nie spełnił jednak moich oczekiwań. Myślę, że nie był dobrze przygotowany organizacyjnie. Zbyt bogata i różnorodna problematyka spowodowała chaos, który właściwie uniemożliwiał rzeczową dyskusję.

Wyobraźnia podpowiada mi następujący schemat organizacyjny młodzieżowego sejmiku:

- wybranie tematów (najwyżej kilku),
- rozesłanie ich do szkół,
- dyskusja w szkołach i przygotowanie wniosków – delegaci będą wtedy wyrazicielami opinii całej młodzieży szkolnej, a nie tylko swojej własnej,
- podczas obrad – przedstawienie ciekawszych rozwiązań i propozycji ze szkolnego podwórka i przedyskutowanie ich razem z władzami.

Rzecz mogłaby się odbywać bez całej otoczki „niby wielkiej sprawy" – a więc mównic, mikrofonów, referatów, poczęstunku i... zwiedzania warsztatów szkolnych (jak w Ciechanowie). Sejmik taki miałby sens, jeśli byłby zwoływany w miarę regularnie, powiedzmy co pół roku. Można by wtedy sprawdzać jak wchodzą w życie podjęte postanowienia.

Następnym sejmikom życzę więc lepszej organizacji, a także nieco poważniejszego podejścia do całej sprawy. Łatwo jest rzucać słowa na wiatr. Ale przecież nie o to chodzi.

JOLANTA ZDANOWSKA
Fot. J. Łopuszyński

P.S. W tym samym czasie odbywał się w Ciechanowie Sejmik Delegatów Młodzieży Szkół Podstawowych

Saltem przez życie (5)

Ekwilibrystyka

Słowo ekwilibrysta pochodzi z języka łacińskiego i oznacza – „będący w stanie równowagi". Doskonalenie przez człowieka tych umiejętności dało wspaniałe rezultaty. W Chinach już 2000 lat p.n.e. ludzie potrafili chodzić po linie rozpiętej i zawieszonej kilka metrów nad ziemią. Umieli również wchodzić na drabinę, która nie była o nic oparta i balansując ciałem poruszać się na niej w różnych kierunkach. Ludzi umiejących chodzić po linie zawieszonej wysoko nad ziemią nazywano linoskoczkami. Wykonywali oni przy tym skoki przez obręcz, siadali, a nawet kładli się na linie. Dla zachowania lepszej równowagi linoskoczek trzymał w rękach długi kij zwany balanserką. Kobiety zaś występowały z dużym wachlarzem, który służył nie tylko jako element dekoracyjny, lecz przede wszystkim pomocny był przy zachowaniu równowagi.

W cyrku oprócz liny poziomej artyści przedstawiają swoje umiejętności na linie swobodnej (luźno zawieszonej) i pionowej. Lina swobodna daje dodatkowe możliwości techniczne, jak chociażby kręcenia do przodu i tyłu oraz w pozycji leżącej. Popularnym numerem cyrkowym, gdzie wykorzystuje się te możliwości, jest człowiek–małpa. Artysta przebrany w kosmaty kostium wykonuje szereg gagów, a kiedy dosięga liny, udaje, że chce skoczyć w publiczność. Wykonuje wtedy obroty do przodu lub zmęczony figlami zasypia na linie, po czym leżąc na niej zaczyna się przeciągać, a w momencie przekręcenia się na bok zaczyna wykonywać obrót.

Lina pionowa jest domeną kobiet. Przy dobrze dobranej muzyce artystka może przedstawić cały swój wysoki kunszt. Plastykę ruchów, szpagaty, kręcenia. Efektowny kostium oraz odpowiednio ustawione światła tworzą niezwykle estetyczny obraz, wywołujący zawsze aplauz widowni.

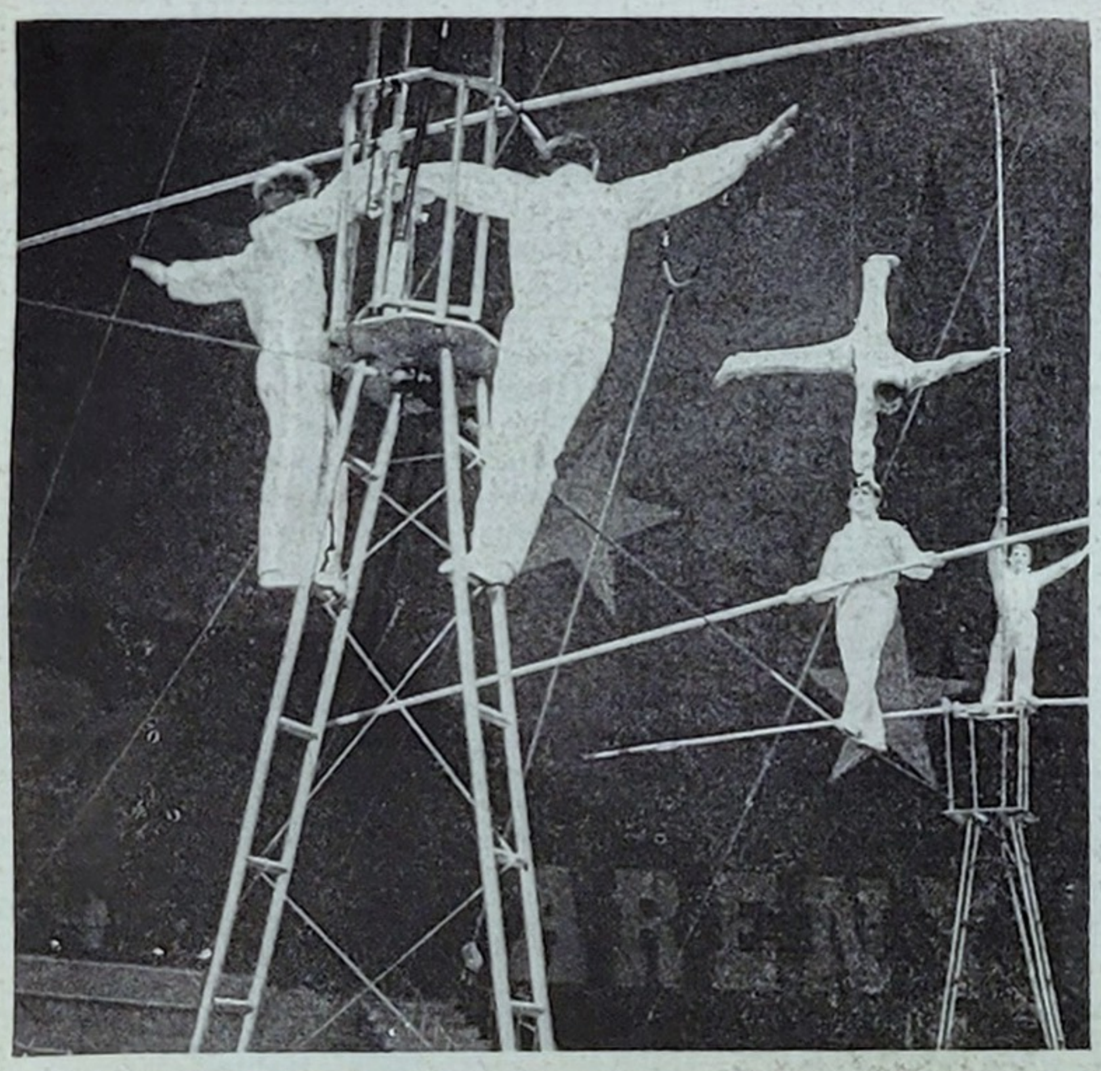

Co roku „Pod Adasiem"

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

SZOPKA JEST, BO BYŁA!

Rzeczywiście, byli tacy, którzy już na długo przed drugą ze światowych wojen wróżyli krakowskiej szopce odejście w mrok zapomnienia: w święta Bożego Narodzenia na Rynku Głównym, pod Hawełką i pomnikiem Mickiewicza z rzadka już tylko można było spotkać bezrobotnych o tej porze roku krowoderskich czy zwierzynieckich „murorzy" i „piaskorzy", którzy za kilka „szóstek" szli, dźwigając wielką, kolorową szopkę do któregoś z zacnych, krakowskich domów. Tam, na miniaturowej scence ustawionej na dwu krzesłach budowli, odgrywano całe przedstawienie: tańczyły kukiełki pastuszków, spadała ucięta głowa Heroda, anioł pędził przed sobą diabła, odganiając go z okolic żłobka krzykiem „no gdzie, no gdzie się pchosz, ty klarnocie bosyyyyyy!" – który to krzyk, z tak charakterystycznym sylab przeciąganiem można usłyszeć jedynie w okolicach Błoń i Kopca Kościuszki.

Aliści, jak się rzekło, krakowskie Antki i Kantki coraz mniejszą przejawiali ochotę do misternego przy szopkach dłubania. I wtedy właśnie – a był to rok 1936 – znakomity uczony, znawca dziejów Krakowa i działacz kulturalny doc. dr Jerzy Dobrzycki, chcąc piękną krakowską tradycję ratować, zorganizował pierwszy konkurs na najładniejszą szopkę. Uczestników zgłosiło się „Pod Adasiem" (stopnie pomnika wieszcza wybrano na stałe miejsce konkursów) zaledwie kilkunastu. Potem, z roku na rok przybywało i ludzi, i szopek.

Mimo kłopotów z budulcem

... mimo gigantycznych problemów ze zdobyciem kleju, „srebrka", bibuły i w ogóle wszystkiego, ku niemałemu zaskoczeniu organizatorów, tegoroczny, jubileuszowy, bo już czterdziesty konkurs zgromadził aż 86 „szopkarzy": najmłodszy miał lat 5, najstarszy – 79. Poziom konkursu ocenili znawcy-szopkolodzy jako niezwykle wysoki, a pomysły świeże i oryginalne. To też zaskoczenie: wiadomo, że każda szopka ma nawiązywać do architektury Krakowa i wiele nowego w tym względzie wymyślić nie można. Zbiory Muzeum Historycznego, które tradycyjnie zakupuje nagrodzone eksponaty, powiększyły się o dwie wielkie, dwumetrowe szopki: w grudniu i styczniu oglądać je można – wraz z pozostałą częścią zbiorów, potem krakowskie „cudoki" wyruszą na tournée po kraju, odwiedzając kolejno: Kalisz, Chorzów i Warkę.

Stałym nabywcą szopek-laureatek jest również Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które te zakupy przeznacza dla naszych przedstawicielstw dyplomatycznych na całym świecie. Podobno wzbudzają podziw, entuzjazm i – pytania: dlaczego nie robicie u nas wielkiej wystawy tych cudowności? Takie ekspozycje – rzadko, bo rzadko, ale jednak są organizowane, była już wystawa w Rzymie i Londynie, planuje ją Instytut Polski w Wiedniu. Kilkanaście szopek wędruje rokrocznie do wielkich zakładów pracy: co się potem z nimi dzieje – nie wiem, bo nigdzie ich nie spotkałem (z wyjątkiem naszych statków i promów). W tym roku na zakup kilku kolorowych, srebrnych i złotych budowli szarpnęła się Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu. Cóż, zakład duży, to go i stać – a warto dodać, że duża, dwumetrowa szopka sprzedawana była „Pod Adasiem" za cenę 70–90 tys. zł, ewentualnie 200 dolarów. Dużo? Ba, pewnie, ale też prace nad takim arcydziełem trwają i po 9–10 miesięcy...

Tego się nie można nauczyć?

Szopkarze twierdzą, że nie, że z tym trzeba się urodzić, trzeba przynieść z sobą ową iskrę talentu, bez której szopka nigdy prawdziwie piękna nie będzie. Krakowskie Muzeum Historyczne zaniepokoił jednak fakt, że ostatnimi laty w dzień konkursu można spotkać „Pod Adasiem" wciąż te same twarze, wśród których brak jest szopkarskiej młodzieży. Postanowiono tedy – wraz z towarzystwem „Scena Ludowa" – zorganizować pierwszy w dziejach kurs budowania szopek krakowskich. Muzeum udostępniło sale wykładowe i pracownie, zaangażowało na wykładowców ludzi utytułowanych, w dziejach miasta i jego zabytków obkutych. Zajęcia praktyczne prowadzić mieli tacy arcymistrze jak: Paczyński, Głuch czy Dudzik (ten ostatni przez wiele lat był etatowym lajkonikiem), wytrzaśnięto nawet trochę staniolu, bibuły i kleju. Prasa zachłystywała się z entuzjazmu: „Za rok braknie miejsca na płycie rynku!", „Rosną młode, wysokokwalifikowane kadry szopkarzy!", „I ty możesz budować cuda!"

Na kurs nie zapisał się nikt. Po prostu – nikt.

– *Jak ktoś chce się w to bawić, to sam znajdzie sposób, by się nauczyć* – wzdycha dyr. Wojak. – Chcieliśmy trochę dopomóc tradycji, nie wyszło... pozostaje tylko mieć nadzieję, że obroni się sama.

Wydaje się, że do bagażu zmartwień, które ma Kraków, to jedno na razie nie dojdzie. Szopki i konkursy na nie tak bardzo wrosły w zimowy pejzaż i obyczaje miasta, że trudno sobie bez nich Kraków i święta wyobrazić. Szopka jest, bo była i wszystko wskazuje, że przetrzyma i nas, i następne pokolenia.

LESZEK MAZAN (PAP)

Fot. **Zb. Bisanz**
W. Wróblewski

Persz to maszt, który trzyma artysta (dolny) na ramionach, w jednym ręku lub na głowie. Partner lub partnerka wspinają się po nim na sam szczyt i tam wykonują ewolucje. Persze znane były w Japonii już w XII wieku, ale dopiero na początku XIX wieku zostały wprowadzone do programów cyrkowych. Początkowo w numerze tym występowano tylko w duecie. Później zaczęto tworzyć większe grupy, wprowadzając dodatkowe elementy chodzenia po skośnej linie, przechodzenia przez drabiny i balans na kuli.

Oddzielna grupa to **rowerzyści**. Potrafią oni wykonywać na rowerze piruety, budować piramidy i jeździć na jednym kole. Rower o jednym kole to monocykl, a występujący na nim artysta często wprowadza do swego numeru elementy żonglerki lub balansu. Natura wspaniale wyposażyła w balans foki, które z łatwością potrafią utrzymać na nosie podany im przedmiot. Człowiek także może dojść do takich umiejętności poprzez systematyczne ćwiczenia. Często wypowiadane zdanie, że w cyrku wszystko jest możliwe, zawiera w sobie wiele prawdy. Kryje się jednak za tym wiele tygodni i miesięcy żmudnej i ciężkiej pracy. Artysta jednak wie, że warto solidnie pracować, by zasłużyć na podziw i brawa cyrkowej publiczności.

MICHAŁ CHMIELEWSKI

Fot. **Zb. Bisanz**
W. Wróblewski

Zadania dla Ciebie

1. **Spróbuj utrzymać na nodze, dłoni i czole, drążek długości 1 metra.**
2. **Ułóż na głowie piramidę z co najmniej pięciu elementów (klocki, książki...)**
3. **Zrób na rowerze tzw. stójkę (równowaga na stojącym w miejscu rowerze bez podparcia), co najmniej przez 15 sek.**

Wyniki zanotuj w tabelce, zamieszczonej w poprzednim numerze „ŚM".

Na ćwiczenia masz tydzień czasu. Następny odcinek i kolejne zadanie dla Ciebie – w najbliższy wtorek.

NOTATNIKA FILATELISTY

redaguje Piotr Wieczorek

17 stycznia każdego roku Warszawa – stolica naszego kraju obchodzi bardzo uroczyście rocznicę swojego wyzwolenia.

Do tych obchodów czynnie włącza się Ministerstwo Łączności wydając okolicznościowe emisje pocztowe w formie znaczków, kart czy też okolicznościowych kasowników. Filateliści organizują okolicznościowe wystawy filatelistyczne poświęcone Warszawie i rocznicy jej wyzwolenia. Plonem takich wystaw są zazwyczaj piękne okolicznościowe kasowniki pocztowe.

Ukazały się znaczki poświęcone pierwszej, dziesiątej, dwudziestej, dwudziestej piątej oraz trzydziestej rocznicy. Znaczek wydany z okazji trzydziestej rocznicy, w roku 1975, został uznany przez czytelników „Filatelistyki" za najładniejszy znaczek roku.

35 rocznica wyzwolenia Warszawy upamiętniona została okolicznościową kartą pocztową, która na stronie ilustracyjnej przedstawia Pomnik Braterstwa Broni w Warszawie. Urząd Pocztowy Warszawa 1 stosował w tym dniu okolicznościowy kasownik.

Inne rocznice zwane potocznie „nieokrągłymi" również zostały upamiętnione wydaniem okolicznościowych kasowników pocztowych, które razem ze wspomnianymi znaczkami oraz kartą pocztową mogą tworzyć ładny zbiór każdego młodego filatelisty.

Na koniec jeszcze informacja, że Warszawa jako miasto – symbol patriotyzmu i pokoju, została udekorowana przez Radę Państwa: Orderem Budowniczych Polski Ludowej, Orderem Krzyża Grunwaldu I klasy oraz Orderem Virtuti Militari V klasy. Fakt ten upamiętniła Poczta Polska na specjalnie wydanej karcie pocztowej.

Zagraj razem z nami (7)

VARI

Ta prastara ludowa gra afrykańska, mająca zresztą mnóstwo odmian i nazw, wymaga przede wszystkim sprawnego i szybkiego liczenia pionów, a przy tym odrobiny zręczności. Spróbujmy...

Gracze siadają po obu stronach widocznej na zdjęciu „dłubanki". Każdy ma przed sobą rząd sześciu zagłębień wypełnionych własnymi pionkami – po cztery w każdym zagłębieniu. Po prawej ręce gracz ma większe zagłębienie, gdzie będzie kładł zbite pionki. Pionki nasze i przeciwnika niczym się od siebie nie różnią (mogą się za to śmiało nieco różnić jeden od drugiego – mogą to być np. kamyki o dość różnych barwach). Gra toczy się o to, by zdobyć jak najwięcej pionków i złożyć je w swej „miseczce".

O tym, kto rozpocznie, decyduje losowanie, a ruchy wykonuje się na zmianę. Ruch polega na tym, że bierze się wszystkie pionki z dowolnego zagłębienia po swojej stronie i zaczna je rozsiewać po kolejnych dołkach w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. W każdym napotkanym dołku zostawia się po jednym pionku aż do chwili, gdy dłoń pozostaje pusta. Jeżeli np. rozpoczynająca grę osoba „wyruszy" z przedostatniego swego zagłębienia od prawej (czyli z niego weźmie 4 pionki), to jeden pionek pozostawi w swoim skrajnym prawym zagłębieniu (będzie ich tu wtedy 5), a następnie przejdzie już na stronę przeciwnika i do kolejnych trzech jego grajdołków wrzuci po jednym pionku. Po czym – w ręku będzie już pusto, więc z kolei partner przejmie grę.

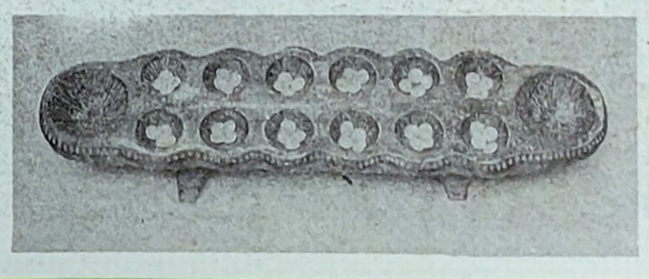

W toku kolejnych ruchów liczba pionków w dołkach – zrazu równa – będzie się stale zmieniać, w granicach od zera do czasem sporej liczby. Tu czas wyjaśnić, czym jest bicie. Otóż jeżeli nasz ruch rozsiewający kończy się po stronie przeciwnika i to w dołku, gdzie leżą 2 lub 3 pionki, to zbijamy je, czyli zagarniamy i przenosimy do dużej miseczki po naszej prawej ręce. Jeżeli w tych dołkach przeciwnika, które bezpośrednio przylegają do tego, w którym biliśmy, też są akurat po 2–3 pionki, to i je bijemy. I jeszcze jedno. Jeżeli ruch wykonujemy z dołka, w którym jest więcej pionków niż 11, to podczas ich rozsiewania mamy obowiązek ominąć ten dołek, czyli pozostawić pusty. Dla każdego, kto trochę pogra w vari, stanie się to całkiem jasne.

Gdy wszystkie pionki zostaną zdobyte przez jednego z partnerów, gra się kończy, a on wygrywa. Ale częściej zakończenie wygląda inaczej: oto jeden z partnerów nie może wykonać ruchu, bo został tak „ograbiony" z pionków, że wszystkie zagłębienia po jego stronie są puste. Wtedy, oczywiście, przeciwnik wygrywa.

Gra ma tę wielką zaletę, że nie wymaga posiadania stałych rekwizytów. Można siąść na plaży, wygrzebać w piasku stosowne zagłębienia, a grać przy pomocy kamyków, muszelek, zielonych szyszek itp. Jest to więc idealna gra dla wędrowców. I tym, nieco wakacyjnym, akcentem kończymy nasz przegląd najciekawszych propozycji groteki na Woli. **(tok)**

Fot. **M. Szymański**

P.S. Kończąc swą gościnę na naszych łamach GROTEKA zaprasza wszystkich chętnych do współpracy. Przychodźcie, piszcie, dzielcie się z wolskim klubem doświadczeniami, no i sami starajcie się tworzyć podobne kluby. Niech hasło „Zagraj razem z nami" pozostanie aktualne. A oto adres: GROTEKA, Społeczny Dom Kultury MSM „Starówka", ul. J. Brożka 18, 01-451 Warszawa. Telefon: 36-27-49.

GWIAZDOZBIÓR

STEVE McQUEEN – jego prawdziwa historia

Wśród zakupionych w tym roku przez nas filmów znalazł asię amerykański western Williama Wiarda pt. ,,Tom Horn". Jest to ponoć historia prawdziwa, a główną rolę gra Steve McQueen – wspaniały aktor zmarły na złośliwego raka krwi 7 października 1980 roku. Film ,,Tom Horn" powstał w 79 roku i był przedostatnią kreacją Steve'a.

Patrząc na pogodną, a nawet wręcz radosną twarz Steve'a – w rolach nieustraszonych wojaków, kowbojów i amantów – nie domyślamy się nawet, że ten silny, uroczy mężczyzna był w życiu prywatnym postacią tragiczną.

Urodził się w Slater w stanie Indiana 24 marca 1930 r. Dzieciństwa szczęśliwego nie miał. Jego ojciec opuścił dom, kiedy miał zaledwie dwa lata. Gdy miał lat sześć – matka wyszła powtórnie za mąż. Ale nowy tatuś znał tylko jedną metodę pedagogiczną – bił! Nic dziwnego, że znerwicowany nastolatek przyjaźni i aprobaty szukał na ulicy, wśród kumpli. By znaleźć sobie poklask ukradł coś mając zaledwie 12 lat. Ojciec pobił go do krwi, a następnie oddał do internatu będącego właściwie rodzajem domu poprawy. Steve po latach stwierdził z goryczą: *można tam było nauczyć się wszystkiego, ale nie tego, jak się poprawić.* Uciekał stamtąd dwukrotnie i dwa razy został złapany. Wyszedł z ,,luksusowego hotelu" swojej młodości o nazwie ,,Chiko Boys Republic" w 1946 roku i wstąpił jako ochotnik do marynarki wojennej. Tam jego życie się wyprostowało. Jeszcze raz znalazł się w tamtym domu – po latach. Był już bogaty i sławny. Przyniósł w kieszeni nie kamienie i nienawiść jak poprzednio, ale czek opiewający na wysoką kwotę – by pomóc tym, którzy byli kiedyś jego kolegami w świecie wyobcowania.

Stał się sławny dzięki telewizyjnemu serialowi ,,W imieniu prawa" – jego 200 odcinków obejrzały miliony widzów w Stanach Zjednoczonych i wielu krajach europejskich. Zdobył już majątek, ale zaczęły go nękać niewybredne ataki prasy pomawiającej go o chciwość i lekkomyślność. Musiał dopiero nauczyć się, że gwiazda nie może obejść się bez maski, którą pokazuje publiczności. Przy jego wrodzonej szczerości i impulsywności w reagowaniu na niesłuszne zarzuty było to rzeczą trudną.

Ożenił się wtedy z pierwszą kobietą swego życia – młodą aktorką Neile Adams. Miał z nią dwoje dzieci: syna Chada i córkę Terry Lesile. Historia tej ślubnej uroczystości była niezwykła i dramatyczna, jak prawie wszystko co przeżywał. Już wtedy tkwił w nim ,,demon szybkości". Steve kochał się w kaskaderskiej wręcz jeździe na motocyklach i w wyścigowych wozach. Jadąc na ślub oczywiście przekroczył dozwoloną szybkość – nic więc dziwnego, że ślub przyszło mu zawrzeć w... komisariacie.

Szybkość była racją mojego bytu. Zdradzałem nawet dla niej swoją żonę. Ta miłość do szybkości sprawiła, że zrobiłem karierę swoją rolą w ,,Wielkiej ucieczce" (film Johna Sturgesa z 1962 r.). *Na ciężkim wojskowym motocyklu z koszem zachowywałem się jak szalony, przesadzając rowy i kolczaste druty. To było bardzo filmowe.*

Szybkość go upajała, ale, jak twierdził, nie zatracał w niej instynktu samozachowawczego. Poskramiał swój strach, a smak ryzyka powiększał jego przyjemność. Tak było w niezapomnianym filmie ,,Nevada Smith" (reż. Henry Hathaway 1965 r.). Miał kilka wspaniałych motorów i naturalnie jego hobby to udział w różnego rodzaju zawodach: w wyścigach i na torach przeszkód.

Drugą kobietą jego życia była Ali MacGraw. Niestety, pozbawiony normalnego domu w dzieciństwie i wczesnej młodości – był tak zaborczy i zazdrosny, że wkrótce ich szczęście zamieniło się w piekło. Ali odeszła, a on znów zaczął szukać zapomnienia w motocyklowym pędzie. Film mu to zresztą ułatwiał. W ,,Sprawie Thomasa Grown" szokował kaskaderskimi wyczynami na kalifornijskiej plaży (reż. Norman Jewison, 1967 r.), a ,,Bullitta" (reż. Peter Yates, 1967 r.) nie da się określić inaczej niż jako fantastyczną motorową galopadę, która na ekranie uwieczniła jego ideę fix: **Żyć – to znaczy prześcignąć czas.**

Steve McQueen nienawidził być gwiazdą. Dowody popularności były dla niego torturą równą niepowodzeniom młodości. Próbował żyć incognito. Unikał oficjalnych wystąpień. Opuścił Hollywood. Próbował też zmienić zawód i zajmował się fotografią prasową. Ale presja kina zawsze zwyciężała. Brał odwet zachowując się na filmowym planie prowokująco i domagając się olbrzymich honorariów. Ale płacił za to, jak w błędnym kole, opinią skończonego cynika, typa całkiem negatywnego. Tylko najbliżsi przyjaciele, których było niewielu, wiedzieli, że jest inaczej. Że jego odpychający sposób bycia to pozór, obrona człowieka wrażliwego, ale zgorzkniałego i zmęczonego.

Choroba, która miała to do siebie, że objawiła się nagle – zniszczyła go w ciągu kilku miesięcy. Medycyna nie zna jeszcze lekarstwa na tę odmianę raka. Pracował prawie do ostatka nad ,,Tei Pan" – filmem, który był wielkim przedsięwzięciem, ale nigdy nie został ukończony. W ciągu tych ostatnich miesięcy znalazł wreszcie spokój uczuciowy w związku z Barbarą Minty, ale nie twórczy. Specyfiką pracy aktora jest fakt, że liczy się tylko dzieło ostatnie, w myśl dewizy – **Najlepszą pamiątką jest dzisiaj, a najlepszą nadzieją jutro.** Ale widzowie na szczęście myślą inaczej. I co zostało z pełnego walki i niepokoju, pięćdziesięcioletniego zaledwie, życia Steve McQueena, to legenda, którą już zdążyły stworzyć jego 32 filmy. (cb)

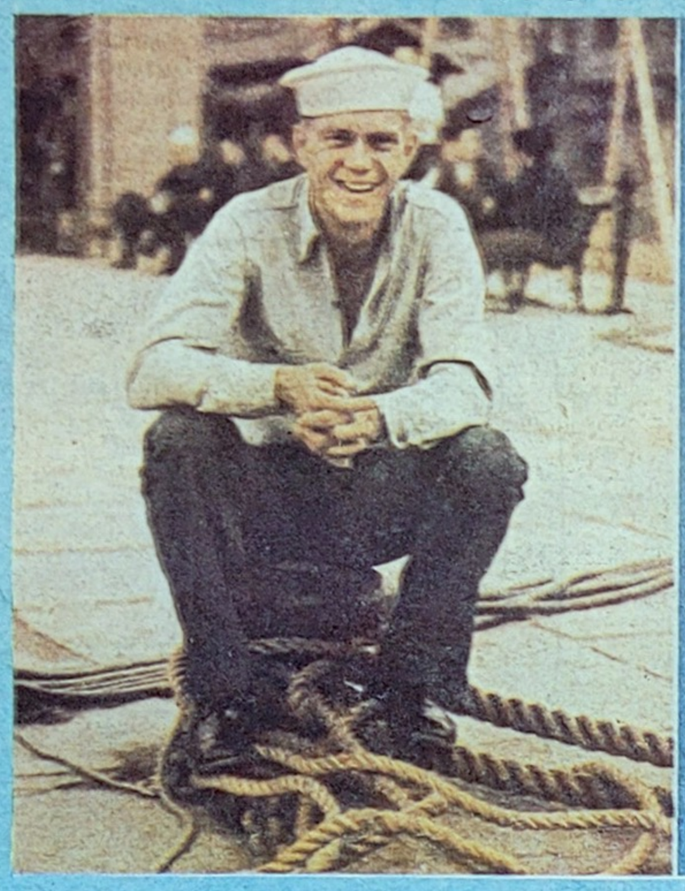

Jego największymi sukcesami były role w filmach „Kanonier z Yang – tse" (z lewej) i „Bullitt" (z prawej)

Fot. archiwum

I ZNOWU FOLKLOR

DOM MODY świata młodych (serial włóczkowy, odc. 8)

O stylu folk (czyli tzw. pseudoludowym, opartym w zarysach na ludowym folklorze) truję Wam niemal systematycznie (ostatnio w nr 91 z dnia 28 września ub.r.) ponieważ głęboko jestem przekonana, że jest to styl naprawdę godzien uwagi. Ciągle bardzo modny, mający masę wdzięku i stosunkowo łatwy w użyciu, co polega na tym, że bez większych trudności można sobie skompletować stroik w tym właśnie stylu. Jego zasady są więc Wam najprawdopodobniej doskonale już znane: szeroka marszczona spódnica, gładka bluzka z szerokimi rękawami i narzucone na nią bolerko czy jakaś chustka, a do tego wszystkiego falbanki, lamówki, kwiatki jakieś, korale... Jego elementem może być również i sweter. Oczywiście nie pierwszy z brzegu, ale wydziergany w taki sposób, żeby do całości tego pseudoludowego stroju pasował.

Specjalnie więc dla tych z Was, które tak jak i ja czują do stylu folk sympatię, ostatni odcinek tegorocznego serialu włóczkowego poświęcam takim właśnie pseudoludowym swetrom.

Jakie one być mogą? – widać na zdjęciach. Przede wszystkim sweterki z kwiatkami (wyhaftowanymi po zrobieniu całości). Jasne kwiatki na ciemnym tle albo ciemne kwiatki na jasnym. Może to być również sweterek z wrabianym wzorem. Nic szczególnego – paseczki krzyżyków, kropeczek, gwiazdek. Trochę wzoru przy mankietach, dużo – na karczku. Jeśli tło sweterka (tzn. ta część pozbawiona wzoru) jest ciemne, we wzorze powinno być dużo bieli. Jeśli tło jest jasne – powinna w nim dominować czerń, czerwień i zieleń. A jeśli ktoś wzorzystych swetrów nie lubi, może być i sweter całkiem gładki ,,uludowiony" ozdobnymi szwami i podobnymi lamówkami. Tak jak na zdjęciu jasny, albo jakiś całkiem ciemny. Wtedy szwy i lamówki powinny być odpowiednio do jego koloru kontrastowe.

Mogą być oczywiście i inne swetry pasujące do stylu folk. Te zdjęcia to tylko drobna propozycja mająca charakter podpowiedzi, że i tak też można.

RIUSZKA

SZTUCZNY, ALE... KTO TO POZNA?

(PAP). Praktycznie niewyczerpalnym złożem marmuru stała się pustynia Kara-Kum. Co prawda jest to marmur sztuczny, składający się przede wszystkim z piasku i związków poliestrowych... Sztuczny marmur nie ustępuje swoim wyglądem kamieniowi naturalnemu, jest łatwiejszy w obróbce i można mu nadać niemal każdy kolor. **(kl)**

Dosłownie – trząść się ze strachu...

BUŁGARIA (PAI). Bułgarscy uczeni doszli do wniosku, że w pewnych warunkach ludzie mogą przeczuwać trzęsienie ziemi. Ludzie zdrowi na kilka godzin przed trzęsieniem ziemi zaczynają odczuwać bezwiedny lęk i osłabienie, niektórych boli głowa, nasila się bicie serca. Bywa, że towarzyszy tym zjawiskom dzwonienie w uszach. Przyczyny tych zjawisk naukowcy upatrują w oddziaływaniu na organizm człowieka infradźwięków lub w anomaliach pola magnetycznego. **(jo)**

„CUKIERKODAJNE" DRZEWA – NA WAGĘ ZŁOTA!

ZSRR (PAP). Na południu ZSRR występuje gatunek drzewa, którego owoce mają smak... cukierków. W końcu listopada i na początku grudnia, kiedy owoce dojrzewają, drzewa te są gromadnie oblegane przez dzieci. Każdy ze świeżych owoców zawiera 20 proc. cukru, a po wysuszeniu – nawet 40 proc. **(kl)**

UDANY START PRYWATNEJ RAKIETY KOSMICZNEJ

USA (PAI). W pierwszych dniach września 1982 r. z małej wyspy Matagorda (w stanie Teksas) wystartowała w kosmos prywatna rakieta pana Davida Hannaha. Założył on w Huston firmę Space Services, która zamierza świadczyć usługi w postaci wystrzeliwania satelitów. Zdaniem p. Hannaha już dwanaście towarzystw naftowych zgłosiło chęć umieszczenia na orbicie okołoziemskiej satelitów przeznaczonych do wykrywania zasobów ropy. Tak więc w USA pojawił się pierwszy konkurent NASA.

Pierwszy start miał na celu sprawdzenie rakiety nośnej. Rakieta „Conestoga-1" osiągnęła zaplanowaną wysokość 308 km, po czym opadła w przewidzianym rejonie Zatoki Meksykańskiej, 516 km od miejsca startu. Kierowanie całą operacją startu powierzono byłemu kosmonaucie Donaldowi Slaytonowi.

Rakieta „Conestoga-1" ma 11 m wysokości i jest napędzana silnikiem na paliwo stałe, takim jaki rakiety wojskowe typu „Minuteman". Pan Hannah odkupił go za 365 tys. dolarów z tzw. nadwyżek armii amerykańskiej. Szef firmy Space Services spodziewa się, że cięcia budżetowe, które dotknęły NASA, napędzą mu specjalistów, natomiast niezbędny sprzęt zdobędzie z demobilu. **(jo)**

Od wielu lat jestem stałym czytelnikiem redagowanego przez Pana „Tomika". W związku z tym i ja chciałem umieścić w moim ulubionym dziale swój artykuł. Czytając wypowiedzi innych kolegów stwierdziłem, że bardzo mało było dotychczas informacji nt. praktycznego wykorzystania wahadłowców. Stąd też niniejszy artykuł.

PRAKTYCZNE WYKORZYSTANIE WAHADŁOWCA

Ostatnie lata przyniosły nam nowy, wspaniały środek transportu kosmicznego jakim jest Space-Shuttle. Po kolejnych lotach pora zastanowić się nad jego praktycznym wykorzystaniem. Już w okresie na długo poprzedzającym start wahadłowca zaczęto projektować urządzenia do współpracy z promem. Dzielą się one na urządzenia pozostawiane na orbicie oraz powracające z wahadłowcem na ziemię. Do takich należą:

LST-teleskop-olbrzym. Projektowany jest przez trzy firmy – Boeinga, Lockeheeda i Martin-Marietta. W obserwacjach znad atmosfery pozwoli on na głębsze sięgnięcie w kosmos, niż w przypadku teleskopów naziemnych. Wykorzystany będzie do prowadzenia badań w nadfiolecie, podczerwieni i widzialnym zakresie widma.

SPACE-LAB: laboratorium kosmiczne. Podobnie jak SKYLAB czy SALUT służyć ma do przeprowadzania eksperymentów w przestrzeni poza Ziemią. Będzie tam realizowany szeroki zakres badań, od biosyntezy enzymów do badań nad plazmą.

SPAS-wahadłowcowa platforma satelitarna, powstająca w RFN. Przy jej użyciu realizowane będą przeróżne eksperymenty w locie swobodnym w pobliżu wahadłowca.

Poza tymi trzema najbardziej realnymi projektami, przewidywana jest także pasażerska wersja wahadłowca. Możliwe będzie też wykorzystanie go do budowy wielkich konstrukcji satelitarnych. Do „codziennych" prac należeć będzie umieszczanie sztucznych satelitów na orbicie, korygowanie ich lotów, „inspekcje" i naprawy uszkodzonych, lub sprowadzanie ich z powrotem na ziemię. Poza tym na wahadłowcu każdy może umieścić swój ładunek za uiszczeniem opłaty. Dla bardzo małych ładunków taka „przejażdżka" kosztuje od 3 do 10 tys. dolarów.

Wacław Korzeniowski
ul. Wiosenna 1
43-230 Goczałkowice-Zdrój

Jacek Horęzga „zastrzelił" nas rewelacyjną wiadomością o tragicznym lądowaniu na pograniczu Meksyku i USA dwóch statków przybyszy z kosmosu. Jedna ekspedycja rozbiła się w 1948 r., druga zaś w rok później. I przez te wszystkie lata „brzydki" rząd Stanów Zjednoczonych trzymał to ważne wydarzenie w tajemnicy. Dopiero teraz ufolodzy dobrali się do skóry władzom i całą sprawę usiłują wyjaśnić. Opisana przez Jacka historia jest kolejną próbą wmówienia opinii publicznej, że naszą planetę masowo odwiedzają Kosmici, tylko rządy państw ukrywają te fakty nie chcąc w ten sposób doprowadzić do paniki lub jeszcze czegoś gorszego. Jest to, oczywiście, nieprawda. Nieprawdą jest również, jakoby NASA też ukrywała fakt spotkań astronautów z NIMI. Było to już wyjaśniane nie raz, a jednak mit utrzymuje się nadal.

PREZES

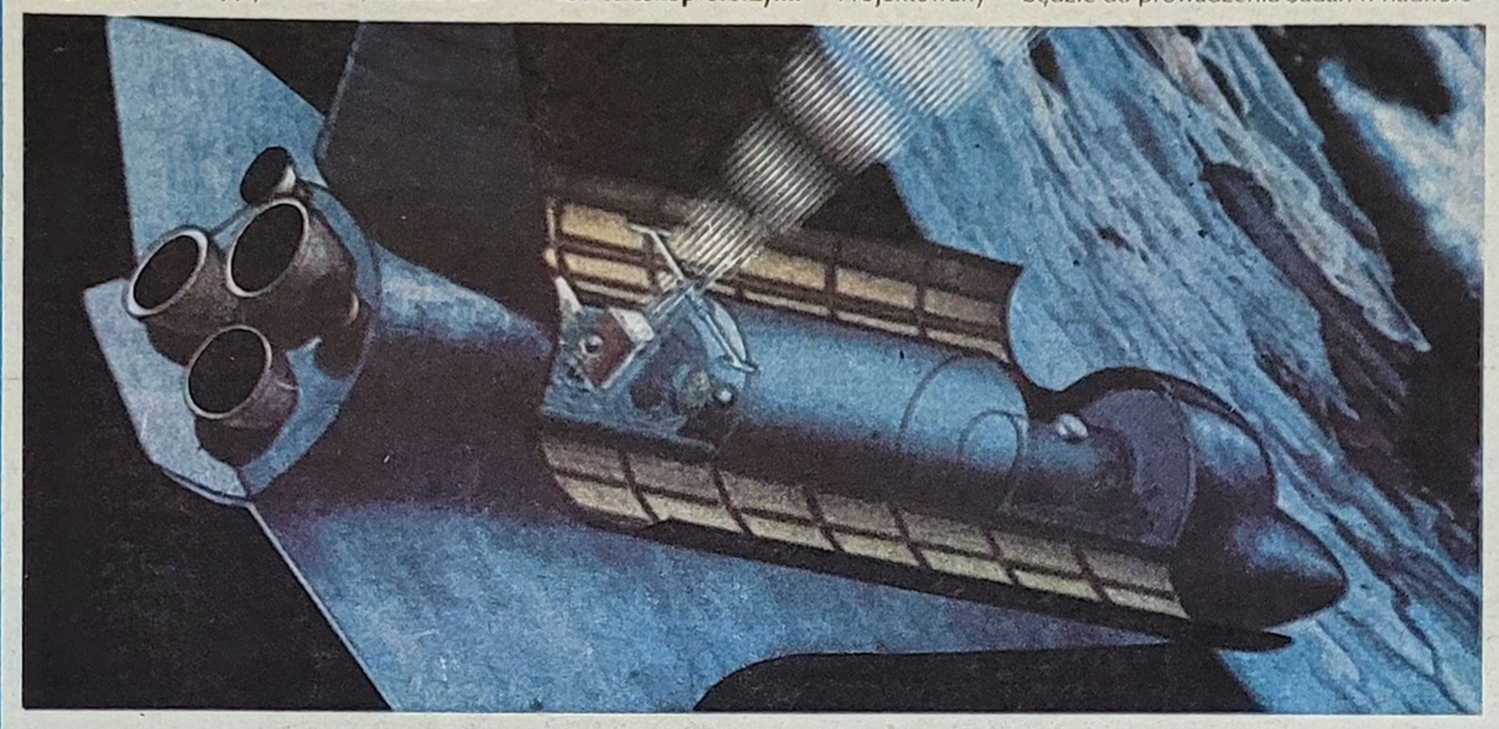

„TAJEMNICA C.I.A."

Badania nad UFO trwają już od kilkudziesięciu lat. Mimo tak długiego czasu nie udało się jeszcze znaleźć dostatecznych dowodów na istnienie obiektów pozaziemskiego pochodzenia. Fanatycy UFO twierdzą, że CIA, lotnictwo amerykańskie, komisje rządowe oraz tym podobne instytucje uznały, że problemy i zagadnienia dotyczące niezidentyfikowanych obiektów latających powinny zostać ukryte przed opinią społeczną.

W 1977 roku przed badaczami UFO otworzyły się szerokie perspektywy pracy naukowej, bowiem w USA zostało wprowadzone prawo o wolności informacji. Umożliwiało ono wszystkim ludziom dostęp do informacji, które dotychczas były zatajone przez różne instytucje.

Z prawa o wolności informacji bardzo szybko skorzystali: kierownik grupy ufologicznej GSW, inż. W. Spaulding, dyrektor NUPON, L.H. Striengfield, oraz adwokat Roztenblath. Zażądali oni od CIA ujawnienia ukrywanego od wielu lat materiału o UFO. Początkowo agencja wywiadowcza nie chciała się na to zgodzić. Rozpoczął się proces, który CIA przegrała i musiała wydać naukowcom ok. 900 stron tajnej do tej pory dokumentacji o UFO. Po zapoznaniu się z jej treścią Spaulding powiedział: *„...na podstawie zebranych przez CIA informacji doszliśmy do wniosku, że statki te istnieją w rzeczywistości"*. Akta zawierały głównie wiele raportów pilotów, którzy byli obserwowani w czasie lotu przez UFO. Do akt dołączonych było wiele unikalnych zdjęć oraz 10 filmów nakręconych w większości przez lotników. Największą jednak sensacją okazał się dokument stwierdzający, że Air Force ukrywa przynajmniej dwa wraki statków kosmicznych obcej cywilizacji wraz z martwymi ciałami członków załogi. Jeden znaleziono w 1948 r. w Meksyku, drugi pięć lat później w Arizonie. Wiadomość ta wywołała olbrzymi wstrząs nie tylko wśród ufologów, ale i w całym społeczeństwie. Wielu naukowców postanowiło tę sprawę wyjaśnić.

Denis Pilichis z instytutu badawczego UFO podczas jednego ze spotkań z przedstawicielami innej grupy badawczej pokazał dwie fotografie, które – jak stwierdził – zostały wykonane na miejscu katastrofy latającego talerza, gdzie znaleziono również ciała martwej załogi. Pierwsze zdjęcie przedstawia ciało leżącego przybysza wśród szczątków spalonego pojazdu kosmicznego. Drugie – ciało jego towarzysza ułożone na ławce po wydobyciu go z wraku statku. Tło stanowią postacie żołnierzy jednostki wojskowej. Pilichis twierdzi, że katastrofa ta wydarzyła się 7 lipca 1948 roku. Podobno w tym właśnie dniu radary wojskowe zarejestrowały nieokreślony obiekt przelatujący nad południowo-zachodnimi terenami USA. Eksperci twierdzą, że prędkości w/w obiektu nie może osiągnąć żaden znany nam pojazd. Z nieznanych przyczyn obiekt uległ awarii, na skutek czego uderzył o powierzchnię Ziemi w Meksyku 30 mil na południe od Laredo (Texas). Rząd USA wysłał tam personel wojskowy mający za zadanie dokładne zbadanie pojazdu, sporządzenie dokładnej dokumentacji oraz zabezpieczenie szczątków pojazdu kosmicznego. Do ekipy należał również fotograf mający za zadanie utrwalenie na kliszy maksymalną ilość szczegółów. Wykonane przez niego zdjęcia trzymano w tajemnicy ponad 30 lat. Przeprowadzone badania udowodniły prawdziwość zdjęć.

Prywatne instytuty badawcze zajmują się obecnie obszernym opracowaniem dokumentacji katastrofy statku kosmicznego, która w niedługim czasie zostanie przedstawiona.

Do niedawna w Centrum Informacyjnym Sztabu US Army, w bazie Air Force w Kirkland (Nowy Meksyk) był przechowywany pakiet raportów dotyczących katastrofy innego niezidentyfikowanego obiektu latającego, która wydarzyła się w 1949 r. W raportach tych opisano poprzedzający katastrofę lot obcego statku, który obserwowało kilkadziesiąt osób w El Paso, Alamogordo, Albuguergue, Rosewell, Soccoro i w wielu innych miejscowościach. W najbliższym czasie departament lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych zamierza przeprowadzić szczegółowe badania miejsca upadku, ciał załogi, oraz wraku w/w obiektu. Może wówczas dowiemy się czegoś konkretnego o tajemniczych przybyszach z kosmosu.

Po zapoznaniu się z dotychczas ukrywanymi informacjami, naukowcy oskarżyli rząd USA o zatajenie prawdy, a także o świadome wprowadzenie w błąd społeczeństwa amerykańskiego. Stwierdzili także, że jedyna droga do odnalezienia prawdy prowadzi przez współpracę i wymianę wartościowych informacji ze wszystkich dostępnych źródeł.

Jacek Horęzga (15 l.)
ul. Nowotki 1/6
49-300 Brzeg

– To dlaczego nie zobaczono Persów, kiedy szli na Babilon? – wypytywał Zukatan. – Przecież ich było bardzo dużo.

– To zdarzyło się dawno. Jeszcze mnie nie było na świecie. Ale dość tych pytań! – rozzłościł się nagle Sillaja. Jak bowiem mógł wytłumaczyć synowi, że to właśnie kapłani Marduka zdradzili swojego króla Nabonida i otwierając bramy miasta wpuścili bez walki perskiego Cyrusa do Babilonu. Bardziej bowiem bali się utraty swoich wpływów i bogactw niż upadku niepodległości państwa. Takich spraw nawet on, doświadzony żołnierz, nie rozumiał. A cóż dopiero dziesięcioletni chłopiec, jego syn...

Po prawej stronie ulicy Adada ciągnął się niezbyt wysoki mur obronny, w którym znajdowały się aż trzy szeroko otwarte bramy. Za bramami obszerny dziedziniec, a nieco z tyłu – wielka świątynia boga Marduka. Cała budowla – wyłożona na zewnątrz różnokolorową glazurowaną cegłą – lśniła w słońcu, jak gdyby wzniesiono ją z drogocennych kamieni.

– Ja tu byłem – pochwalił się Zukatan.

– Kiedy?

– Niedawno. Sąsiadka szła do boga Marduka, aby mu się pokłonić i złożyć ofiarę. Zabrała mnie z sobą.

Przez bramy świątyni Esagila przechodziło wiele ludzi. Cały obszerny dziedziniec przed świątynią wypełniał tłum mieszkańców Babilonu i przybyszów z najdalszych okolic Babilonii. Ze wszystkich stron pobożni pielgrzymi tu spieszyli, by modlitwą przed posągiem Marduka wybłagać szczęście i pomyślność dla siebie i swej rodziny. W tłumie spotykało się także cudzoziemców, którzy jeśli nawet nie wierzyli w Marduka, to wiodła ich ciekawość i podziw dla piękna i bogactwa tego świętego przybytku. A że w ogóle w Babilonie, największym centrum handlowym świata, aż roiło się od kupców perskich, greckich, egipskich, armeńskich i innych, ze wszystkich stron świata, nie brakowało ich i tutaj. Każdy, kto modlił się przed świętym posągiem, zawsze składał bogu choć najskromniejszą ofiarę.

– Z boku – Zukatan tłumaczył ojcu – znajdują się mniejsze kaplice, w których podłogi i ściany wyłożone są pięknym marmurem. W każdej stoi posąg jakiegoś boga.

Sillaja lekko się uśmiechnął. Znał przecie doskonale całą świątynię Esagila. Nieraz tam się modlił i składał ofiary.

– W samym środku – opowiadał dalej Zukatan – znajduje się największa kaplica. Ma rozsuwaną ścianę, nazywa się Ekur i wchodzi się do niej po stopniach z cegieł. W środku nie byłem, bo tam mogą wchodzić wyłącznie kapłani, ale podszedłem aż do samych schodów, gdzie stoi wielki Marduk. Jest wysoki jak pięciu normalnych ludzi. Cały ze złota i w złotej koronie na głowie. Przed bogiem złoty stół, a z boku złoty tron. Kapłani ustawieni po obu stronach Marduka śpiewają piękne pieśni na jego cześć. Może wejdziemy tam, ojcze? Chciałbym jeszcze raz zobaczyć.

– Zobaczysz to jeszcze nie jeden raz. Dzisiaj musimy się spieszyć. Dlaczego do tej pory nie włożyłeś sandałów? Kładź je zaraz!

Zukatan bardzo niechętnie spełnił polecenie ojca.

Tak rozmawiając zbliżyli się do głównej ulicy Babilonu: Ulicy Której Oby Nigdy Nie Deptał Wróg, przez mieszkańców zwanej drogą procesyjną. Była ona chyba dwa razy szersza od ulicy Adada. Cała wyłożona różnokolorowymi kamiennymi płytami, tak wygładzonymi, że Zukatan w swoich nowych sandałach wciąż ślizgał się i tracił równowagę, aż ojciec wziął go za rękę.

Po obu stronach ulicy wznosiły się pałace i wspaniałe domy najbogatszych i najpotężniejszych mieszkańców Babilonu. Niektóre wysokie aż na cztery piętra. Na drodze procesyjnej odbywały się też wielkie uroczystości religijne – zwłaszcza pochody połączone z przejazdem świętych wozów z posągami bogów „odwiedzających" co roku swojego ojca, samego Marduka. Te procesje były ulubionymi uroczystościami Babilończyków. Najwspanialsza odbywała się wtedy, gdy ukochany syn Marduka, Nabu, przybywał z pobliskiej Borsipy.

Cdn.

---

[1] Zigurat – wieża wchodząca w skład świątyń m.in. babilońskich. Miała kształt schodkowej budowli, której kondygnacje były połączone ukośnymi rampami. Budowana była z cegieł

[2] Jedna z licznych teorii tłumaczących budowanie ziguratów

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA

PORWANIE KSIĘŻNICZKI

SCENARIUSZ I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

12

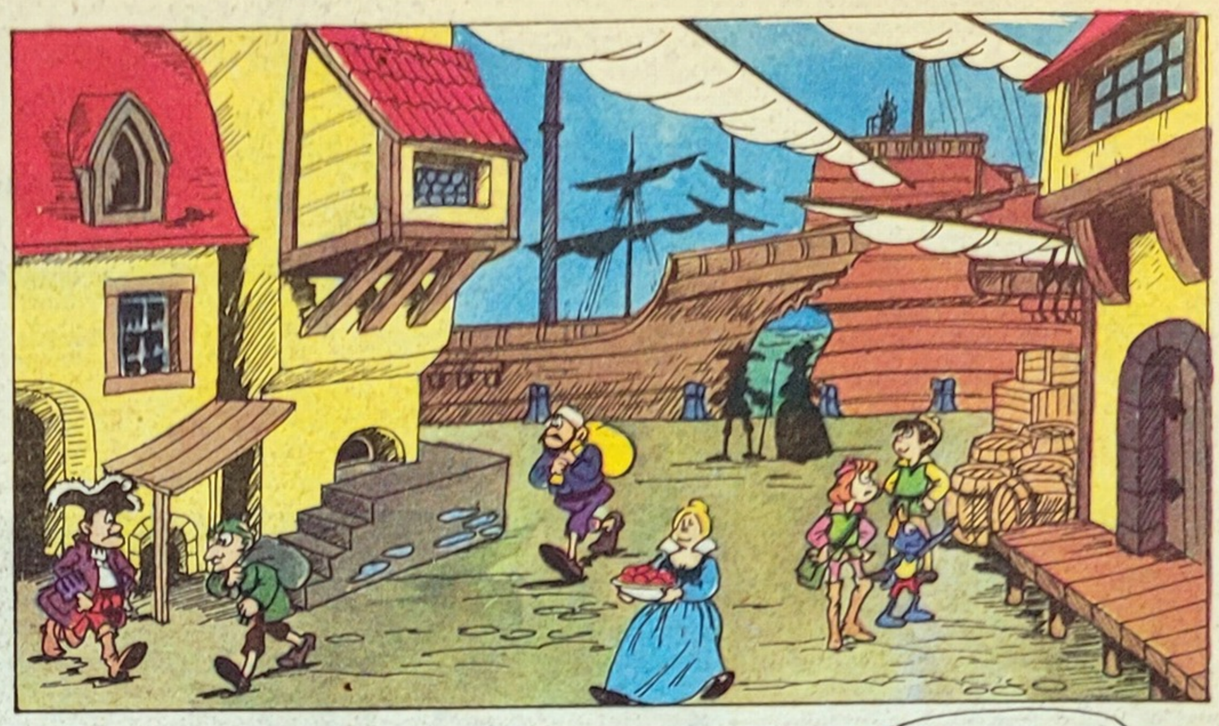

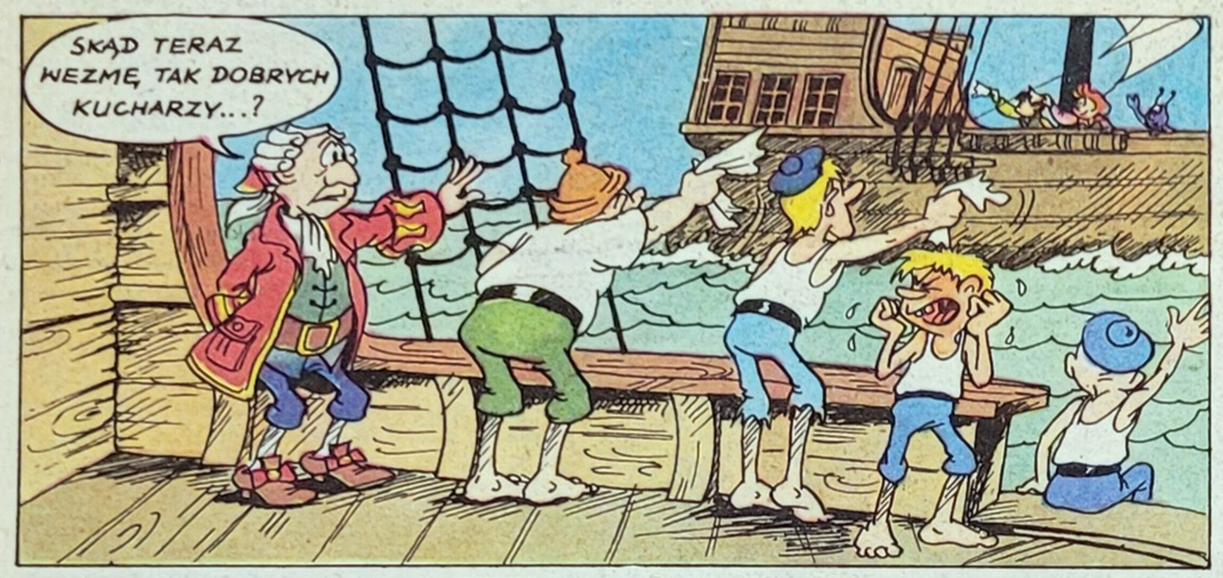

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel: 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne Inna Bójska

Opracowanie techniczne Bogumiła Szczupakowska

Korekta Bianka Abratowska-Lisowska

Nakł. 500292

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 54/G. M-81

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561

UŚMIECH NUMERU

– PANIE DOKTORZE, to straszne, ale kiedy powiem komuś „hokus-pokus", ten ktoś natychmiast znika. Ojej, panie doktorze, gdzie pan się podział...?

*

– USIĄDŹCIE! – powiedziała nauczycielka wchodząc rano do klasy. Wszyscy siadają, tylko Józek wciąż stoi.

– Dlaczego nie siadasz? – pyta nauczycielka.

– Tata mi wczoraj podpisywał dzienniczek...

Oni to właśnie szczerze podziwiali strojną szatę Sillai, ale jak i dziesiętnik, nie dowierzali perskiej łasce. Ich zdaniem Sillaja i jego syn powinni być przygotowani na wszystko. Jedna z kobiet, żona nieco zamożniejszego garbarza wyrabiającego wygodne sandały z oślej skóry, pożyczyła Zukatanowi nowe ubranie jej własnego syna. Chłopak miał bowiem tylko jedną, dość zniszczoną szatę, z której tak wyrósł, że nie sięgała mu kolan.

Nazajutrz, gdy wychodzili z domu, Sillaja spostrzegł, że syn jest bosy.

– Gdzie twoje sandały? Przecież niedawno kupiłem ci nowe!

– One są takie niewygodne! Najlepiej lubię chodzić boso.

– Włóż zaraz! Do czego to podobne? Idziemy do pałacu, do samego księcia Azardada, a ty na bosaka! Jak jakiś żebrak, co siedzi na stopniach Etemenanki.

– Będę niósł je w ręku, a włożę dopiero na ulicy Której Oby Nigdy Nie Deptał Wróg.

– No, dobrze – zgodził się ojciec – masz je włożyć, jak tylko przejdziemy przez most.

Niektórzy sąsiedzi odprowadzili ich aż do szerokiej ulicy Adada, boga i władcy burz i huraganów, prowadzącej do mostu. Tutaj pożegnano dziesiętnika:

– Niech cię Nusku strzeże! Wracaj cały i zdrowy jak najprędzej!

Na Nowym Mieście bóg ognia Nusku był bodaj bardziej czczony niż wielki Marduk, którego świątynia Esagila („świątynia z wysoka głową"), była największym i najbardziej świętym miejscem w całej Babilonii, zaś jej kapłani najbogatszymi i najbardziej wpływowymi ludźmi w państwie. Nawet Persowie po podbiciu Babilonii musieli się z nimi liczyć. Królowie perscy, chociaż wyznający religię Zoroastra i wierzący tylko w boga Ahuramazdę, brali udział w uroczystościach ku czci Marduka i koronę Babilonu przyjmowali z rąk jego arcykapłana.

Nusku był bogiem biedaków. Nie miał wielkich świątyń, wystarczały mu małe skromne kapliczki. Kapłani Nusku nie mieli ambicji wtrącania się do polityki i rządzenia krajem. Biegli w sporządzaniu cudownych szemmu – leków, za miskę strawy i drobną ofiarę nieśli pomoc zarówno bogaczom, jak biedakom.

Sillaja i jego syn przeszli już przez most i wraz z tłumem przechodniów podążali ulicą Sina. Już z daleka po prawej stronie widać było wspaniałą siedmiostopniową wieżę. To zigurat[1] Etemenanki. Każde z pięter wyłożone było innego koloru kaflami. Wieża wyglądała jak tęcza, którą po deszczu bóg Marduk rozwiesza na niebie. Na samym szczycie lśniła złotem mała kapliczka, najświętsze ze świętych miejsc Babilonu.

Mały Zukatan, który bardzo rzadko bywał na Starym Mieście, gdyż straż nie przepuszczała przez most dzieci bez opieki starszych, ciekawie rozglądał się naokoło.

– Co to za wieża? – zapytał ojca.

– To miejsce odpoczynku boga Marduka.

– A dlaczego ona taka wysoka? Ma chyba ze dwadzieścia gar!

– Nasi przodkowie – tłumaczył synowi dziesiętnik – przybyli tu z dalekich stron, gdzie wznoszą się góry dużo wyższe od Etemenanki. Na tutejszych płaskich równinach tęskno im było za górami. W każdym mieście budowano więc na cześć bogów sztuczną górę.[2] Zresztą te ziguraty są bardzo użyteczne. Budowano je tak, że z jednej wieży można dojrzeć drugą. Zamiast więc posyłać gońca z miasta do miasta, na wieży wywiesza się znaki, które z innej wieży dostrzec można i odczytać. Na przykład z Etemenanki widać zigurat w Borsipie.

Dokończenie na str. 7